MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 34. WARSZAWA, 6 SIERPNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

SAMOSTARCZALNOŚĆ

CZY NIEZALEŻNOŚĆ GOSPODARCZA?

POJĘCIE „samostarczalności gospodarczej" zostało spopularyzowane wśród szerokich sfer społeczeństwa i nieco skompromitowane wśród ekonomistów. Oczywiście nikt nie myśli poważnie o samostarczalności pełnej, t. j. o tem, by Polska mogła się obchodzić bez żadnego przywozu i bez żadnego wywozu. Pojęcie samostarczalności jest używane bardzo nieściśle i bardzo dowolnie, co wprowadza zazwyczaj zamęt do dyskusji. W wulgarnem zastosowaniu, mówiąc „samostarczalność", myśli się o czemś zgoła innem, a mianowicie o... dodatnim bilansie handlowym, podczas gdy samostarczalność to znaczy obchodzenie się nie tylko bez przywozu, ale także bez wywozu.

Inni znowu, używając niewłaściwie terminu samostarczalność, mają na myśli niezależność gospodarczą. Co przez to pojęcie należy rozumieć? Nie jest to identyczne z ograniczeniem do minimalnych granic przywozu. Kraje o bardzo wielkim przywozie, jak np. Stany Zjednoczone, są o wiele bardziej gospodarczo niezależne od tych, których przywóz jest minimalny, jak naprzykład Polska. Chodzi raczej o to, by kraj, a właściwie naród, mógł sam kierować rozwojem swych sił gospodarczych bez ingerencji czynników obcych, oraz by żadna istotna gałąź jego działalności gospodarczej nie była podcięta w swej egzystencji na wypadek zerwania stosunków handlowych z innemi krajami (np. wskutek wojny), wreszcie by w tym wypadku mogły być zaspokojone wszelkie istotne potrzeby społeczeństwa.

Tak pojęta niezależność jest pojęciem pod pewnemi względami szerszem, pod innemi węższem od pojęcia „samostarczalności gospodarczej". Szerszem, gdyż przewiduje uniezależnienie się od zagranicy pod względem kredytu, a także uniezależnienie się od obcych żywiołów, zamieszkujących Polskę. Węższem, gdyż nie wymaga wcale, by cyfra przywozu spadała niemal do zera.

Postulat niezależności gospodarczej jest dużo istotniejszy i łatwiejszy do obronienia, niż postulat samostarczalności. Należy bowiem w pewnej mierze przyznać słuszność tym ekonomistom, którzy twierdzą, że program samostarczalności byłby w dużej mierze programem — ogólnego zubożenia.

Trzeba kilka słów poświęcić tej opinji ekonomistów szkoły dedukcyjnej. Oparta jest ona na bardzo prostem założeniu: jeżeli jeden człowiek umie lepiej łowić ryby, niż wiązać sieci, a drugi lepiej wiązać sieci, niż łowić ryby, to zdrowy rozsądek nakazuje im podzielić się pracą, tak by jeden łowił ryby, a drugi wiązał sieci, gdyż wówczas obaj będą mieli więcej — ryb. Z tego już wyprowadza się uzasadnienie konieczności międzynarodowego podziału pracy, jako kierunku powszechnego dobrobytu.

Szkole dedukcyjnej już bardzo dawno przeciwstawia się szkoła indukcyjna, historyczna, a zwłaszcza jej odłam t. zw. narodowy. Upraszczając jej poglądy i powracając do poprzedniego przykładu można w ten sposób streścić jej opinję: rybak, który nie umie sobie robić sieci, będzie zdany na łaskę i niełaskę swego dostawcy, może być przez niego wyzyskiwany. Gdy zbraknie dostawcy, będzie zupełnie bezradny. Rodzina rybaka, jego potomstwo, będzie w tem samem położeniu. Niezależność zapewni sobie dopiero umiejętnością robienia sieci. Rozszerzając znów ten prosty przykład, ekonomiści szkoły historycznej pouczają, że każdy naród musi zapewnić sobie możność zaspokojenia istotnych potrzeb własną pracą. Jeżeli dziś produkuje jakieś towary gorzej i drożej od zagranicznych dostawców, to jeszcze nie dowód, by w przyszłości nie miał ich produkować lepiej i taniej. Musi się tylko nauczyć — nauka czasem kosztuje, ale opłaca się. Popieranie droższej produkcji krajowej kosztem tańszej zagranicznej jest właśnie — płaceniem za naukę.

Pogodzenie sprzecznych poglądów obu szkół nie jest możliwe z tego prostego powodu, że wychodzą one z innych założeń i innego rodzaju sposobem myślenia bronią swych teoryj. Nie znaczy to jednak wcale, by w polityce gospodarczej niewiadomo było, co robić, wobec tego, że nie mogą się pogodzić ekonomiści. Polityka ekonomiczna będzie zawsze wyrazem kompromisów między koncepcją międzynarodowego podziału pracy, a koncepcją gospodarczej samostarczalności i można tylko w konkretnych wypadkach stwierdzić, czy należy pójść po linji dopuszczenia obcego przywozu, czy też popierać wytwórczość rodzimą. Decydujące tu będą różne kryterja: 1) czy przywóz zdaje nas „na łaskę i niełaskę" obcych; 2) czy, dopuszczając przywóz, możemy sobie zapewnić możliwość wywozu, to jest zapłaty za przywóz.

Nikt nie może zaprzeczyć, że obecnie właśnie oba te momenty przemawiają z reguły za ograniczeniem przywozu, choć może też być inaczej. Niebezpieczeństwo wojny przemawia raczej za rozwijaniem w wielu dziedzinach własnej wytwórczości — sprawa to jest zbyt dobrze znana, by trzeba było się nad nią dłużej zatrzymywać. Dążenia do ograniczenia przywozu występują silnie w państwach, nabywających nowe produkty — co również nie jest powodem do szerokiego otwierania granic dla obcych towarów.

Ale nie wolno tych spraw traktować jednostronnie. Układ stosunków w świecie w ciągu ostatnich lat nakazuje nam szukać nietylko „samostarczalności", a, poprawniej powiedziawszy, niezależności od zagranicy w zakresie przywozu.

Jednostronność w tej dziedzinie doprowadza do fatalnych błędów, wypaczających całą linję rozwojową naszego gospodarstwa narodowego.

W okresie, kiedy sprowadzaliśmy olbrzymie ilości towarów zagranicznych, cieszono się niezwykle z dopływu rozmaitych pożyczek „kluczowych", które niemal stały się kluczem, zamykającym przed nami wszelkie perspektywy rozwoju gospodarczego. Przywóz uważano za nieszczęście, a dopływ obcego kapitału za dobrodziejstwo. Dziś znowu cieszymy się z tego, że eksportujemy, po niskich cenach, węgiel, żelazo, cukier i t. p.

Tymczasem dopływ obcego kredytu był ściśle związany z wzrostem przywozu. „Dzięki" niemu jesteśmy dziś podobno „zmuszeni" do ponoszenia olbrzymich strat przy wywozie szeregu artykułów. Wszak pieniądze z tego wywozu potrzebne są na płacenie odsetków od długów zagranicznych.

A zatem — dopływ obcego kredytu, polepszający nasz bilans płatniczy, oddał nas w niewolę obcego kapitału. Symbolem tej niewoli jest właśnie praca za darmo — dla obcych, którą wykonuje nasze górnictwo węglowe, czy przemysł cukrowniczy. Te z kolei oczywiście próbują, naogół z powodzeniem, przerzucić koszty darmowej pracy na całe społeczeństwo.

W myśl rozwiniętych powyżej założeń, dla osiągnięcia pełnej n i e z a l e ż n o ś c i gospodarczej musimy mieć m o ż n o ś ć pokrywania najistotniejszych potrzeb własną produkcją, ale nie potrzebujemy zamykać się przed w s z e l k i m przywozem, co byłoby wręcz szkodliwe. Musimy zatem z wywozu uzyskać pewne środki na zapłacenie importu. Nie trzeba jednak długami sztucznie powiększać sum, jakie płacimy zagranicy, gdyż to zmusza do forsowania wywozu nierentownego.

Według przyjętych powszechnie teoryj, długi, zaciągane na cele inwestycyjne, powiększają dochodowość całego gospodarstwa społecznego. Mojem zdaniem, w Polsce jest wręcz przeciwnie.

Przedewszystkiem płacimy za uzyskany kredyt pod różnemi postaciami najmniej 10 procent rocznie, a w większości wypadków kilkanaście procent. Nie może się to tedy opłacić, a haracz płacony, przez państwo, samorządy, czy przedsiębiorstwa prywatne[1]) zagranicznym wierzycielom podcina możliwości rozwojowe.

Jest jeszcze inna, niezmiernej wagi okoliczność, która powinna skłonić nas do mniej entuzjastycznego traktowania kredytów zagranicznych. Te same warunki, które wpływają na drożyznę kredytów, udzielanych Polsce, sprawiają, że kredyty te otrzymujemy w okresach dobrej konjunktury, kiedy wszyscy „lepsi" dłużnicy, jak naprzykład... Niemcy, zostali nafaszerowani zagranicznemi pożyczkami. Otóż w tych okresach poziom cen jest wysoki. Uzyskany kredyt wpływa na pogorszenie bilansu

---

[1]) W tym wypadku mamy do czynienia przeważnie z ukrytą formą przekazywania zysków. Rzekomo nierentowne przedsiębiorstwa kartelowe, należące do obcego kapitału, wywożą w formie odsetek od pożyczonego kapitału poważne sumy.

handlowego — sprowadzamy różne towary w dużej ilości, wtedy właśnie, kiedy cena ich jest najwyższa. Dotychczas uzyskiwaliśmy pożyczki tylko w okresie wysokiej konjunktury i wysokich cen, a zadłużaniu się zagranicą towarzyszył gwałtowny wzrost przywozu.

Nikt nie może mieć wątpliwości co do tego, że położenie gospodarcze Polski byłoby o wiele lepsze, gdybyśmy obecnie nie byli obciążeni spłatami pożyczek zagranicznych i zbędnym, deficytowym wywozem[2]). Nie bylibyśmy wówczas uzależnieni od zagranicznych wierzycieli i zagranicznych odbiórców, płacących fantastycznie niskie ceny.

Jak dalece w tej dziedzinie zapanowały najbardziej fałszywe poglądy, świadczy o tem następujący przykład: aktualną jest sprawa częściowego zastąpienia zagranicznej bawełny polskim lnem. Otóż len jest pozornie droższy (w istocie rzeczy, wskutek większej trwałości, tańszy) od bawełny. Wobec tego sfery zainteresowane w przywozie bawełny występują z twierdzeniem, że nie można popierać produkcji lnu, jako surowca droższego, który możemy zastąpić. Pogląd ten broniony jest także przez uniwersalnych „obrońców interesów", którzy równocześnie uzasadniają konieczność deficytowego eksportu.

Gdzie tu konsekwencja? Jeżeli pozbawiamy rynek wewnętrzny tanich surowców, by móc je wywieźć, to, logicznie sądząc, powinniśmy zapobiegać przywozowi nawet tańszych surowców zagranicznych, skoro możemy je zastąpić nieco droższemi, krajowemi. Trzeba tylko porównać wysokość strat, ponoszonych przy wywozie węgla i przy zaspokajaniu zapotrzebowania na tkaniny krajowym lnem. Naprzykład: by kupić kilogram bawełny za 1.40 zł., musimy wywieźć 10 kg. węgla, licząc ceny eksportowe, zaś dla nabycia 1 kg. lnu za 1.50 zł. musimy dać 4 kg. węgla liczyć cenę wewnętrzną.

Z drugiej strony nakładamy cło na różne surowce, których rzeczywiście krajowemi zastąpić nie można i utrudniamy w ten sposób rozwój przemysłu przetwórczego, opartego na przerobie tych surowców, przemysłu, który niejednokrotnie mógłby wywozić.

* * *

Jak widzimy, w dziedzinie naszych stosunków z zagranicą panują pojęcia dość chaotyczne, które nie pozostają bez wpływu na bieżącą politykę gospodarczą.

W rezultacie nasz handel zagraniczny jest oparty na niezdrowych podstawach, a zadłużenie zagraniczne uzależnia nas od zagranicy w niezwykle uciążliwy sposób.

WOJCIECH ZALESKI

[2]) Może ktoś powiedzieć, że mielibyśmy do czynienia z bezrobociem w przemyśle węglowym czy hutniczym. Poglądy moje na tę sprawę są czytelnikom „Myśli Narodowej" znane. Uważam, że niskie ceny zwiększyłyby zbyt tych artykułów i zatrudnienie, jeżeli nie bezpośrednio w hutnictwie i górnictwie, to w przemyśle przetwórczym.

FORPOCZTY MASONERJI W POLSCE

SEKCIARZE I PROROCY[1])

PRZED hitlerowskim przewrotem w Niemczech rozpowszechnione były różne sekty. Znacznem powodzeniem cieszyli się w Berlinie mormoni. Występowali pod nazwą „świętych ostatnich dni". Jednym z najgłówniejszych celów niemieckich mormonów, było pozyskiwanie młodzieży. Chłopcy byli organizowani w grupy „poszukiwaczy ścieżek", dziewczęta zaś w t. zw. „roje pszczół". Na tych stopniach przebywała młodzież przez trzy lata, potem dziewczęta przechodziły szczebel „robotnic", aby wreszcie osiągnąć stopień „matek". Jednem z przykazań niemieckich mormonów dla swych członkiń jest następujące: „bądź religijna, czcij poddaństwo kobiet, czuj słodycz służenia, ciesz się życiem". Życie codzienne dziewcząt, należących do sekty mormonów regulowane jest przez szczegółowe i osobliwe przepisy. Ale nabożeństwa ich i zebrania są zakonspirowane.

Specjalnego rodzaju jest „Ezoteryczne Towarzystwo Naukowe", którego zasada naczelna głosi: „rób, co chcesz". Towarzystwo jest poświęcone wiedzy tajemnej. Każdy członek musi przejść długi i ciężki okres prób i przygotowań. Przedewszystkiem członek w ciągu całego roku musi uczęszczać na codzienne wykłady wieczorowe z dziedziny magji czarnej i demonologji. Jednym z pierwszych tematow jest „erotyzm a okultyzm". To wędka, na którą łapie się młodzieńców. Wykłady są ilustrowane obrazami świetlnemi, wyjaśniającemi zagadnienia erotyczne z astrologicznego punktu widzenia. Po rocznym nowicjacie i dobrem złożeniu „egzaminu" można zostać kandydatem na członka towarzystwa. Ten okres trwa lat pięć. Dopiero więc po sześciu latach można zostać członkiem, wtedy gdy jest się już odpowiednio urobionym.

W różnych kołach polskich, mających kontakty z teozofami bądź sekciarzami amerykańskimi, odbywają się prywatne zebrania, na których początkowe wtajemniczania dokonywają się przy pomocy różnych akcesorjów gimnastyczno-oddechowo-gastronomicznych (Yoga, prana i t. p.). Uczestnikami tych praktyk, poważnie spełnianych, są inteligenci.

Podobne ezoteryczne towarzystwa zaczęły powstawać w Polsce przed laty dziesięciu. Wciągnęły sporo osób płci obojga. Czynnikiem pociąga-

[1]) Ob. „Myśl Narodową" nry 30, 31, 32.

jącym była czarna magja i sprawy erotyczne. Niejedno życie zostało złamane tragicznie. Potworzyły się bowiem liczne koła, w które wciągano nieorjentujących się, i pod płaszczykiem wiedzy tajemnej uprawiano w gruncie rzeczy rozpasanie płciowe. W tych ezoterycznych grupach w Polsce udział brali emigranci rosyjscy oraz reemigranci z Ameryki, a także Amerykanie.

Niemało zamętu narobiła również tajna sekta satanistów, założona w Warszawie w r. 1924 przez Czyńskiego, który przed wojną, po dłuższym pobycie w Paryżu i w Niemczech, znalazł się na dworze carskim w tajemniczej roli czarnoksiężnika. Sataniści była to organizacja masońska, bo Czyński został wtajemniczony w sataniczne praktyki martynistów przez znanego na terenie międzynarodowym dr. Papusa (dr. Encausse). Założywszy w Warszawie sektę satanistów, odprawiał w lokalach zakonspirowanych czarne msze, pełne wyuzdania i nieprawdopodobnych orgij. Wtajemniczani nowicjusze składali przysięgę na szatana. Do sekty należeli i teozofowie. Obdarzony dużą siłą hypnotyczną, Czyński wywierał ogromny, przytem destrukcyjny wpływ na wtajemniczonych. Czyński, zresztą szarlatan i swego czasu przed laty trzydziestu karany za oszustwa więzieniem, miał w Polsce cel określony. A mianowicie: zdemoralizować społeczeństwo. Orgje płciowe, uprawiane na czarnych mszach przez satanistów, orgje wespół z nadużyciem narkotyków, rwały wiązadła moralności i rodziny. Zaznaczyły się przed kilku laty szeregiem samobójstw. Ponadto czciciele szatana prowadzili robotę destrukcyjną i bezpośrednio antyreligijną. Jeden z tych satanistów został aresztowany 14 czerwca 1929 za to, że znieważył Przenajświętszy Sakrament i to dwukrotnie, w kościele Zbawiciela w Warszawie i w kościele św. Krzyża. Był to niejaki Jan Sylwester Grabari, bezbożnik, który po aresztowaniu wyznał, że działał z polecenia satanistów. Potem Czyński został aresztowany, przyczem w jego mieszkaniu znaleziono olbrzymi materjał obciążający, i on sam zresztą przyznał się do winy. Wszakże w niedługim czasie został wypuszczony na wolność z powodu wieku podeszłego, liczył bowiem lat 85.

Przed paru laty prasa codzienna donosiła dosyć często o wypadkach bezczeszczenia krzyżów w różnych okolicach kraju. Zapewne był to wpływ sekty czcicieli djabła. Ta akcja prowadzona jest zresztą w dalszym ciągu w innej formie przez bolszewickie stowarzyszenie wolnomyślicieli.

Śląsk jest terenem najprzeróżniejszych sekt, które się tam krzewią bardzo licznie. Skłonność ludu śląskiego do zajmowania się zagadnieniami religijnemi i spekulacyjnemi wyzyskały skwapliwie pewne koła, a przedewszystkiem masonerja.

Od satanistów warszawskich szły nici na Śląsk, gdzie powstawały różne koła, również i pod wpływem ezoteryków niemieckich.

W Katowicach np. zorganizowano „Związek hermetyczny", a w Królewskiej Hucie „Lożę rycerzy ducha". Są to organizacje niezbyt liczne, mające po kilkunastu członków, zajmują się oni podobno czarną magją, urządza się od czasu do czasu zebrania okultystyczne. Oczywiście są to forpoczty wolnomularstwa, jak i owe kółka spirytystyczne, które są gęsto rozsiane po śląskich osadach fabrycznych. Sląsk jest wogóle dostarczycielem jasnowidzów, proroków i sekciarzy. Oto wieśniak górnośląski Weissenberg, zorganizował sektę. „Ewangeliczny kościół według objawienia św. Jana". Jest to sekta tajna. Prorok jej, Weissenberg ma swą główną kwaterę w Poczdamie. Uchodzi nie tylko za przywódcę sekty i proroka, ale i za wskrzesiciela. Ulotki, rozrzucane o nim tajemnie, głoszą, że wskrzesił 9 zmarłych, nie podając zresztą na to dowodów.

Ostatnio osiadł w Dzięgielowie na Śląsku Wincenty Lutosławski, który przed trzydziestu laty wstąpił do loży szwedzkiej Międzynarodowego Zakonu Dobrych Templarjuszy (I. O. G. T.). Aczkolwiek sam Lutosławski głosi, że po kilkunastu latach wyrzekł się ich propagandy, ale związków z nimi nie zerwał, nadto utrzymuje ścisły kontakt z różnemi religijno-okultystycznemi kołami hinduskiemi. Obecnie, osiadłszy pod Cieszynem, probuje Lutosławski zorganizować Kuźnicę, któraby szerzyła „pogląd na świat". Ideą przewodnią jego jest krzewić „pogląd na świat".

Na terenie Śląska liczne są pozatem sekty religijne. Na Górnym Śląsku mieszkają wyznawcy kościoła narodowego, a w Cieszyńskiem sabatyści i adwentyści. Rozpowszechniona jest również teozofja, której widomym przedstawicielem jest p. Chobot, wydawca miesięcznika teozoficznego.

Nadto Śląsk jest terenem prognostyków o charakterze politycznym.

Na tem polu zasłynęła ostatnio niejako Agnieszka P. (Pilchowa) z Wisły, „jasnowidząca", która za pomocą „przepalonego astralu" odczytuje podobno „klisze naszej przyszłości". Posługiwanie się pojęciem „Karmy" świadczy o teozoficznych powinowactwach „prorokini" Agnieszki P. z Wisły.

*

* *

W. Lutosławski, prowadził też przez jakiś czas działalność etyczno - wychowawczą (towarzystwo Elsów). Bardzo często masoni na zewnątrz, otwarcie, w jawnej swej działalności występują jako propagatorzy reformy etycznej.

Po śmierci Edw. Abramowskiego, kooperatysty, socjologa, wybitnego psychologa i masona, powstało w Warszawie Tow. Kultury etycznej im. Edw. Abramowskiego. Czynne w tem towarzystwie osoby, z których wiele tkwiło w „sanacji", pozostawały pod wpływem wolnomularstwa. Towarzystwo to, probujące urządzać różne wieczory i wieczorynki, koncerty, występy wokalne i t. p. dla nawiązywania kontaktów, miało niezbyt wielkie powodzenie. „Działacze" tego towarzystwa rozwijają swoją działalność na innych terenach.

SĘP

P. S. W jednym z artykułów tej serji, w n-rze 32 „Myśli Narodowej" wymieniłem nazwisko prof. Bronisława Dembińskiego w rzędzie pomówionych o przynależenie do wolnomularstwa. Poczuwam się do obowiązku wyjaśnienia, że wniosek ten oparłem na fakcie prezesury prof. Dembińskiego w Tow. międzynarodowem Przyjaciół Ligi Narodów oraz prezesury polskiej grupy Unji Międzyparlamentarnej. Zwrócono mi uwagę, że wniosek ten nie ma podstawy dostatecznej. Z drugiej strony przyznaję, że nie miałem zamiaru podawać w wątpliwość niezależności moralnej i politycznej prof. Dembińskiego zarówno w pismach, jak i w działalności publicznej, w której stał zawsze na gruncie szczerze polskim.

WOLA

PO WOJNIE ŚWIATOWEJ znacznie już wzmogła się w Polsce świadomość spraw, któremi brzemienna jest teraźniejszość nasza i najbliższa przyszłość. Dzięki codziennej, wytrwałej pracy obozu narodowego główne wytyczne społecznego życia kraju, oraz jego polityki wchodzą w obieg potoczny. Razem z rozrostem młodego pokolenia rozpowszechnia się w narodzie wiedza o tem, co dobre a co złe w zawiłych zjawiskach zbiorowości naszej, do rozumnego głosu dochodzi mącona dotychczas intuicja gromady, a instynkt jej oczekuje wodzów i rozkazów.

Niejednemu oczekiwanie to wydać się może znużeniem i zniechęceniem. Ale tu tylko oczekiwanie nuży, a zniechęca tylko to, co obecnie samo siebie za twórczość podaje. Wprawdzie nędza, na którą tak liczą wrogowie narodu, także nuży i zniechęca, ale — do czasu. Ten niebezpieczny materjał wybuchowy całkowicie już układać się zaczyna pod nieprzyjaciołmi, którzy go tak starannie gromadzą. Trzeba przyznać sprawiedliwie, że i wrogowie nasi pracują dla nas, chociaż nie według chęci, ale według możności.

Jak ów djabeł z przypowieści ludowej, który, ujrzawszy rzucone przez Boga ziarno zbożowe, opluł je i racicą w ziemi „pogrzebał“, tak i owi, którzy się szczycą opluwaniem i grzebaniem pracy naszej, wbrew woli własnej dla nas pracują. Co byłoby, może, bezładnie szło, gdyby zapór nie miało, to pod oszczerstwem w ład się skupia, pod prześladowaniem w wolę się zwiera, a w pogrzebaniu mocy nabiera.

Nie brak i zpoza granic kraju zdarzeń o doniosłości powszechnej, które dla zapóźnionej historji Polski zwiastunami się stają. W czasach przełomu cywilizacji wiatr dziejów przechadza się po świecie i cennych nam tu nawiewa doświadczeń. Raz tu, raz tam kłębią się chmury burzowe, a błyskawice ich świecą nam, jak pochodnie. Posiadamy, słowem, i ztąd i zowąd tyle rozumienia współczesności, otaczają nas dokoła nauki poglądowe tak jasne, że już niepodobieństwem byłoby zmącić nasze pole widzenia i z kierunku obranego wytrącić.

Ale wiedza nie jest wszystkiem, a poprzestawanie na niej kryje nawet w sobie niebezpieczeństwa nie mniejsze, aniżeli niewiedza. Istnieje w charakterze polskim wada zadawniona — brak woli, a zwyczajem wszelkich wad lubi przywdziewać szaty, które ją osłaniają. Najdostojniejszą dla braku woli szatą jest wiedza: w królewskim jej, fałdzistym płaszczu znikają dla oczu postronnych niedokładności i szczupłości kształtów i mięśni. Chwiejność i połowiczność, lęki i wątpliwości nabierają wtedy znamion jakoby siły, która jest tu tylko żałosnym pozorem.

Jeżeli tedy życie i świat nie szczędzą nam wykładów pojmowania teraźniejszości, jeżeli nawet wolę w nas budzić usiłują wypadki i wrogowie dnia, nie wolno nam zdawać się na łaskę świata, wypadków i wrogów, a zaniedbywać świadomej w sobie uprawy tej siły, która niczem zastąpić się nie da — uprawy woli. Dawna ta sprawa — wiadoma, lecz nie załatwiona, z pokolenia spadała na pokolenie, aż teraz nareszcie w kształcie pilnego nakazu legła na barkach dzisiejszej młodzieży. Trzeba niezwłocznie nakaz podjąć i wykonać.

W zakresie wiedzy o życiu zbiorowem możemy ograniczyć się narazie do głównych naszego kierunku sprzęgieł, które już są gotowe. Ich wzajemne wiązanie, uzupełnianie i w wielu szczegółach rozwijanie — albo siłą rozpędu toczyć się będzie, albo może być do chwil sposobnych odłożone. W każdym razie wszystko to nie tyle do twórczych, ile do wykonawczych zdolności należy. Ale co pozostaje do stworzenia? W czem, jeśli nie w dziedzinie woli ma się objawić twórczość młodego pokolenia, poszukująca jeszcze dla siebie złomu granitowego?

Wola! W życiu narodu nie zdobywa się jej za jednym zamachem. Konieczna jest uprawa woli, metoda w jej wyszkoleniu, stworzenie takiej dokoła powietrzni, któraby do oddychania wolą zmuszała. Dlatego trzeba upowszechniać cześć dla woli, dla inicjatywy, odpowiedzialności, hierachji — i na tych zasadach opierać każdą organizację. Trzeba wymagać od podwładnych posłuszeństwa, które jest pierwszym stopniem umiejętności rozkazywania, a od przełożonych — rozkazu, który jest najwyższym stopniem odpowiedzialności. Po tej drabinie dochodzi się do panowania woli.

Tymczasem u nas panuje ciągle jeszcze demokracja. Tam nawet, gdzie z umysłu i namysłu ustanowiono hierarchję, nadal najspokojniej panuje nałóg zbiorowego myślenia, zbiorowych postanowień, zbiorowej odpowiedzialności, co razem szereg zer stanowi. Zapewne dlatego, że umysł i namysł począł ową hierarchję, a nie wola z rudy rodzimej wykuta. W sposób formalny oddzielono stado od przewódców, a tym — każdemu miejsce jego przydzielono, w sposób formalny unicestwiono jakoby stado na rzecz formacji wyższej, hierarchicznej... Ale duch stada pozostał.

Tu jednak należałoby właściwie powiedzieć: zły duch stada pozostał. Istnieje bowiem i dobry duch stada, duch, który oczekuje wodzów i rozkazów. Zły duch gromady ludzkiej ucieleśnia się w najgorszym typie przewódców-demagogów z mnóstwem ich odmian psychologicznych. Ci właśnie żerują na demokracji. Otóż pozorny ustrój hierarchiczny umacnia tylko panowanie złego typu przewodców, bodaj w ich odmianie najłagodniejszej — niedołęgów. Najzłośliwszą formą dyktatury jest ta, która pielęgnuje pod sobą przeżytki ustroju demokratycznego.

Polska, jakkolwiek z opóźnieniem, wchodzi również na drogę wielkich przeobrażeń, które niesie na sobie wzbierająca na rzece dziejów fala nacjonalizmu. Ale że odbywa się to u nas narazie sposobem rozwojowym, a nie przewrotowym, więc powstało tu zjawisko dość oryginalne. Tworzone z ramienia samej demokracji organizacje otrzymują nowy, hierarchiczny kształt ustrojowy, ale z dobrodziejstwem inwentarza, czyli z ludźmi i nałogami typu starego.

W tych warunkach i narodziny woli zbiorowej (nawet na najlepszym dla niej gruncie) odkładane są na czas bliżej nieokreślony — raczej po-

wstrzymywane z tą myślą lękliwą, że ona ostatecznie może i z rozumu powstać, bez wstrząsów i zmagań. Wydaje mi się jednak, że jak w wiosennem odradzaniu się przyrody tkwią niby znamiona szaleństwa, bo, mimo gruntu rozumu metafizycznego, działa tu tylko wola i wola, tak samo i w zakresie ludzkiego życia społecznego sam rozum nie wystarcza...

Sądzę, że np. nasza Konstytucja 3 maja nie dlatego nie weszła w życie, że jej nie dopuściły zabory, ale dlatego, że była dziełem pobłażliwości i ustępstw ze strony przeżytych form życia na rzecz nowych, czyli dziełem martwo urodzonem. Była dziełem rozumu, zresztą — międzynarodowego, a nie koniecznością życia, przez wolę tych poczętą, gwoli którym działać miała. Byłoby inaczej, gdyby mieszczaństwo i lud owego czasu zdobyły sobie swoją konstytucję czynem rewolucyjnym, co i historji bieg odmienićby mogło. Ale woli ku temu jeszcze wówczas nie było.

Jak się rodzi wola zbiorowa? Jak się rodzi huragan? Tego nikt nie zdoła wyrozumować. Jedno atoli każdy tu intuicją przenika, że naprzód musi być nagromadzony duży materjał przewodnictwa magnetycznego, a następnie gdzieś, w jakiemś miejscu, którego nikt przewidzieć nie zdoła, musi zawiązać się pierworodny węzeł skupienia elektrycznego, który wirem jakoby szaleństwa niesiony poleci nieobliczalnym, łamanym ciągiem wybuchów, zganiając chmury deszczów ulewnych i wichry odświeżeń. Tak i z wolą. Trzeba ją siać, jak wiatry.

Można wyrazić obawę, że od czasu wojny światowej zadużo sił, przeważnie „djablich", bezwiednie pracuje na korzyść Polski. Coprawda cały świat dzisiaj djablo szybko jedzie w prądzie potężnym, który nie jego — świata wolą jest kierowany. Ale szczególnie w naszych, słowiańskich duszach wytwarza to wcale niepożądany nastrój polegania na wypadkach. Często się zdarza, co wszyscy widzą, że... jedziemy tyłem, jakkolwiek naprzód, a nawet w dobrym kierunku! A to już nie uchodzi. Skoro dobrze jedziemy, obróćmyż się przynajmniej twarzą do pożądanej przyszłości!

Obliczem narodu jest wola jego. W niej powinno się skupić wszystko, co wieki dobrego wyhodowały. Młode, wchodzące teraz w życie pokolenie, na dobrym gruncie się rozrasta, rozumie i wie, co rozumieć i wiedzieć należy, a nadto — zna i uznaje ogólny współczesności kierunek. Cóż mu pozostaje? Co twórczego ma dorzucić od siebie? To, co było i jest najdotkliwszym brakiem charakteru naszego, na co wszyscy z uśmiechem „rozumienia" narzekamy, a nad czem nikt jeszcze świadomie, planowo nie pracował, praca nad wolą powinna być teraz podjęta.

Jakąż, w istocie, wartość posiada serce, dusza, rozum, wszelkie zdolności i cnoty, któremi wykazać się możemy, jeżeli poprzód tych bogactw niema sprawnego, wytrwałego silnika woli? Jakże łatwo moce djabelskie, a nawet moce przyjazne, a pośród nich i te, które w nas samych się mieszczą, rozbić nas mogą, jeżeli dobrego dziedzictwa przeszłości nie osłonimy pancerzem woli i mieczem jej postanowień! Wciąż jeszcze na miejscu silnika woli zgrzyta w nas, udając warczenie, poczwara, z zardzewiałego żelastwa sklecona, — rozumkowanie i gadulstwo.

Typowa jest u nas ta wobec zjawisk postawa, która wyraża się tylko, wyłącznie, chęcią ich rozumienia, a nie — opanowania. Powszechny jest u nas człowiek, któremu się zdaje, że załatwił sprawę, gdy znalazł jej przyczyny. Ciągle obróceni jesteśmy twarzą do przeszłości. Rozumienie, gdy zastępuje wolę, niechybnie prowadzi do rozstroju władz duchowych, do sceptycyzmu, i wiarę w próchno rozkłada, co gorsze jest od niewiary. A wiara i wola — to jedno. Wiara jest rzutowaniem woli na ekran serca i wyobraźni. Wola krztałtuje w obraz duszy paletę.

Jesteśmy nadal ludźmi końca pewnej epoki cywilizacyjnej, ludźmi rozkwitu i przekwitu, obawiamy się woli, a gdy się zjawi, przeciwstawiamy jej wszystkie wytworności naszego wykształcenia, i odsuwamy się od niej, aby się udusiła w próżni powietrznej. Taki lęk w obliczu woli panuje w ludziach, opanowanych przez rozumienie, taki lęk przed pośpiesznem tempem woli, która chce naglić wypadki, sama będąc największej wagi zdarzeniem. Taki lęk przed odpowiedzialnością!

Jesteśmy odwróceni. Mamy w umysłach doskonały obraz budowy hierarchicznej, a stawiamy ją podstawą ku gwiazdom — demokratycznie... Wszystko dobrze jest ze sobą spojone, tylko całość odwrócona. A jeśli takim nałogiem żyjemy w mnóstwie spraw pomniejszych, bieżących, to jakimże cudem postawimy zdrową budowlę największą? Trzeba uprzedzić chwilę wielką, i już w codziennym biegu spraw żachnąć się, aby życiu naszemu zdrowie przywrócić, bo to na niem właśnie stanąć ma owa budowla największa,—na zdrowiu naszem, na opoce woli.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

POCHODZENIE NAZWY „GDAŃSK"

NIEMCY, dowodząc konieczności zagarnięcia dla siebie Pomorza, wysuwają liczne argumenty, które ze stanowiska historycznego, etnograficznego, archelogicznego, lingwistycznego, politycznego i ekonomicznego Polacy i bezstronni obcy pisarze doszczętnie obalają. Zostaje jeden tylko dowód niemiecki, na który w dawanych Niemcom przez naszych pisarzy odpowiedziach nie znalazłem dostatecznego odparcia. Dowodem owym jest powoływanie się Niemców na łacińskich pisarzy (Tacyt i Plinjusz), którzy twierdzą, że w czasie, odpowiadającym pierwszemu wiekowi naszej ery, u ujścia Wisły mieszkali „*Gotones*". Niemcy z tej wzmianki wysnuwają wniosek, że Gotones to byli Gotowie, że, skoro tam mieszkali w owym czasie Gotowie, to ziemia nadwiślańska nie była słowiańską, a więc nie była polską, że wreszcie — tu już z pomocą przychodzi Niemcom własna ich, specjalna logika — ziemia ta, skoro nie była słowiańską, należy się Niemcom.

Co do wzmianek Tacyta i Plinjusza o Gotonach, pisarze nasi zadowolili się zaznaczeniem, że już w w. III słuch o Gotonach zaginął. Jest to odpowiedź zbyt skąpa, spróbujmy tedy nieco bliżej przyjrzeć się tej sprawie.

Przedewszystkiem Gotowie po łacinie nazywają się nie „*Gotones*“, lecz „*Gothi*“, Skąd więc Niemcy mają podstawę do wnioskowania, że w w. I u ujścia Wisły mieszkali Gotowie?

Powtóre, w w. I naszej ery wogóle w Europie, a tembardziej u ujścia Wisły nie było Gotów, gdyż Gotowie przyszli do Europy dopiero w wieku II i to przez Azję Mniejszą na Bałkan. Kto zna pisma pierwszego apostoła Gotów, Gota rodem, biskupa Ulfilasa, urodz. 318 r., (wydane przez Migne'a w „*Patrologia latina*“, zaopatrzone w komentarze najwybitniejszych pisarzy, nawet Niemców), — ten co do czasu przyjścia Gotów do Europy nie ma żadnych wątpliwości. (Ulfilas po grecku; właściwie Wulfil, Wolfil, znaczy po polsku wilczę). Gotones tedy nie byli Gotami.

Dalej, z pośród ludów, które przybrały nazwę germańskich, jedyni Szwedzi nie zapierają się swego pochodzenia od Gotów; Niemcy natomiast tak układają historję, tak umiejętnie omijają sprawę swego pokrewieństwa z Gotami i pochodzenia od nich, że wielu narodom w świecie, zwłaszcza wzorującym swe podręczniki szkolne na podręcznikach niemieckich, zdołali narzucić przeświadczenie, iż są Germanami, Gotowie zaś obcymi im, późniejszymi przybyszami.

Zresztą, czy Niemcy są Gotami, czy nie są, ich argumentacja w sprawie „dziedziczenia“ Pomorza na nic się nie zda.

Jeśli, zgodnie z prawdą, są Gotami, „*Gotones*“ zaś, jak wykazano wyżej, Gotami nie są, odpada jedyny tytuł do roszczenia sobie pretensji o dziedziczenie, odpada pokrewieństwo rasowe.

Jeżeli zaś, zgodnie z twierdzeniem samych Niemców, Niemcy Gotami nie są, to stają sami z sobą w sprzeczności, gdy Gotonów robią Gotami i wypierając się swego gockiego pochodzenia, chcą nagwałt być krewnymi rzekomo gockich Gotonów i zaraz dziedziczyć po nich Gdańsk z Pomorzem. Mniejsza o logikę, byleby dziedziczyć.

Argument wreszcie, że krewni rasowo mają prawo do ziem, na których lud im pokrewny mieszkał wcześniej, aniżeli obecni mieszkańcy, łatwo może się obrócić przeciw samym Niemcom. Wszakże wcześniej, niżeli Niemcy, mieszkali w Saksonji i Brandenburgji Słowianie. My jesteśmy Słowianami, krewnymi dawnych mieszkańców Saksonji i Brandenburgji. *Ergo*: Saksonja i Brandenburgja namby się należały.

Któż to są, zresztą, owi „*Gotones*“?

Pisarze łacińscy, jak powszechnie wiadomo, bardzo zmieniali nazwy, trudne dla nich do wymówienia. Gdy nie mogli sobie poradzić z trudną do wymówienia nazwą jakiegoś prastarego ludu, mianowali go „*Aborigenes*“ lub „*Chorolani*“, co niektórzy historycy i etnografowie przyjmują za właściwą nazwę, gdy tymczasem „*Aborigenes*“ (*ab origine* — od początku) i „*Choroloani*“ (po grecku „*chora*“ = kraj) znaczy tyle, co pierwotni mieszkańcy, tubylcy, krajowcy. Zresztą co do tych przekręcanych nazw wystarczy przypomnieć, że „*Samogita*“ to Żmogas czyli Żmudzin; że „*Semigallus*“ to Kur czyli Łotysz, że „*Mare Adriaticum*“ to słowiański Jadran (jadro = jądro, środek; stąd morze śródziemne), że „Istria“ albo „Histria“ to Istarsko (*istar* po sławiańsku znaczy: ostry, skalisty); że „Dioclea“ to jugosławiańska Dukla; że „*Civitas Tergestina*“ to Trgest (Trieste) it.d.it.d. Dlatego zgóry można przypuścić, bez obawy pomylenia się, że „*Gotones*“ to także jakaś odpowiednio do wymowy łaciników zmieniona nazwa.

Spróbujmy, za przykładem lingwistów, dociec właściwego jej brzmienia.

Gdy się zważy, że w niektórych przedrukach „*Gotones*“ występują jako „*Gothones*“, brzmienie zaś „th“, jak np. u wielu Niemców, równa się brzmieniu „d“ i że zresztą zamiana „t“ na „d“ i odwrotnie jest w lingwistyce aż nadto dobrze znana, — możemy bez błędu ów lud, u ujścia Wisły w w. I mieszkający, nazwać także „*Godones*“. W pierwszym przypadku liczby pojedyńczej nazwa jednostki z owego ludu będzie — wedle zasad gramatyki łacińskiej — „*Godon*“ (lub choćby późniejsze skrócone „*Godo*“, lecz w temacie mające „n“).

Jeżeli zważymy dalej, że łacinnik nie znał i nie mógł wymówić wyrazu, zaczynającego się od takich dwu spółgłosek, jak „gd“, możemy śmiało przypuścić, że w „*Godon*“ pierwsza samogłoska „o“ jest tylko wstawiona (rozziewna). Porównajmy: Zmogas — Samogita (*a* wstawione), Trgest — Tergestuna (*e* wstawione) i t. d. Zamiast tedy „*Godon*“, otrzymamy właściwe brzmienie „Gdon“.

Brzmienie wyrazu „Gdon“, już samo przez się przypomina nam ujście Wisły, stary gród tam stojący, który Niemcy zdawna przywłaszczają sobie, — nasz Gdańsk. W wymowie wielu plemion polskich dźwięk „a“ brzmi często jak „o“, nawet pisaliśmy dawniej „pàn“, wymawiane jak „pon“, „Gdon“ tedy równie dobrze może być „Gdànem“ i „Gdanem“. Potwierdza to wymowa kaszubska.

Mamy zatem w w. I ery chrześcijańskiej u ujścia Wisły lud Gdonów albo Gdanów; główny gród ich został słusznie nazwany Gdańskiem. Nazwa „Gdańsk“ uformowana czysto po słowiańsku i po polsku, jak staroruskie: Kursk, Briańsk, lub nasze: Grudusk, Pułtusk, Łask, Pińsk, Płońsk, Końsk.

Wnioskowanie powyższe znajduje jeszcze poparcie następujące:

Wyraz „fala“ u Kaszubów nie istnieje i nie jest to wyraz słowiańskiego pochodzenia. Mieszkańcy naszego Pomorza, Kaszubi zamiast „fala“, mówią „dena“, przyczem samogłoska „e“ nie jest tu równobrzmiąca z używanem powszechnie „e“, jest znacznie krótsza w swem brzmieniu, jakby tylko wtrącona, odpowiadająca mniejwięcej starosłowiańskiemu „jer“, który, jak wiadomo, może przechodzić (wydłużać się) w inne brzmienia samogłoskowe. Gdonowie lub Gdanowie tedy są ludem, który mieszka „k'denom“ — ku falom morza, a gród ich główny to „K'deńsk“, w wymowie nosowej, jak u Mazurów, Górali, Kaszubów, — „K'dańsk“, później G'dańsk (porów. „pięść“, u górali „piańść“). Przed nikłą „d“, spółgłoska trwała „k“ przeszła (upodobniła się) w nikłe „g“, jak to się stało np. w „gdy“, które pochodzi od pierwotnego „kiedy“ — „kdy“ — „gdy“. W ten sam sposób z Kdańska powstał Gdańsk.

Wszyscy, którzy mieszkali k'denom, t. j. Pomorzanie od Królewca po Holandję, zwać się mu-

sieli Gdanami, skoro jeden z ludów gockich, (jak Krzyżacy od wymordowanych Prusów nazwali się Prusakami), wziął nazwę „Dan", odrzuciwszy dźwięk „k", względnie „g" wzorem Niemców, którzy mówią np. Danzig, zamiast Gdańsk. Mam tu na myśli potomków Gotów, zamieszkujących dziś półwysep Jutlandzki, czyli — Duńczyków, którzy zabraną tubylcom ojczyznę nazwali *Danemark.* „Goth" u niektórych plemion gockich wymawia się jak „Jot" lub „Jut", np. berlińczycy mówią: *„jut Mojen"*, zamiast: *„guten Morgen"*. Stąd *„Jutland"* równa się *„Gotland"*.

Pozostaje teraz tylko pytanie, czy kaszubska „dena" jest wyrazem słowiańskim. Jestem skłonny mniemać, że tak, a na dowód przytaczam nazwy większych rzek w Europie, które w źródłosłowie swym mają „dn" i są nazwami niewątpliwie słowiańskiemi. Oto: Dyna (Dźwina), Don, Dniepr, Dniestr, Dunaj. We wszystkich tych nazwach jest źródłosłów „dn", jak w „dena", na znak, że to rzeki o dużej fali, faliste. Samogłoski wstawione, np. „o, u", nie są istotne, tylko wtrącone. Nie musiały one w zamierzchłej przeszłości brzmieć jasno i wyraźnie, albo wcale wymawiane nie były, skoro łacinnicy mówili: *Danapris, Danastris, Danubius* (przestaw. *Dunabius*).

Zważywszy więc, że nazwy wymienionych rzek są niewątpliwie słowiańskie, bo tylko w słowiańskiej mowie mają logiczne znaczenie, a w innych językach nic nie oznaczają, — musimy przyjąć, że „dn" jest istotnym składnikiem kaszubskiej „deny", że więc „dena" jest wyrazem słowiańskim.

Lingwiści fachowi może rozstrzygną, czy „dena" ma ten sam źródłosłów, co „dno", „bezdnia", „bezdenny".

Gdy więc „dena" jest wyrazem słowiańskim, pochodzące od niej nazwy Gdonów i Gdańska są słowiańskie, a że trudno przypuścić, aby lud niesłowiański przyjmował dla siebie, dla swego grodu i dla swej ziemi nazwę słowiańską, mamy bardzo prawdopodobny wniosek, że Gdonowie — Gotones byli słowianami.

Niech więc Niemcy cytują Tacyta i Gotonów, albo Plinjusza i Gutonów, nic to Gdańskowi i Pomorzu nie zaszkodzi. My na to możemy im odpowiedzieć, że w w. I naszej ery u ujścia Wisły mieszkali Gdanowie, że założyli Gdańsk, a nie byli Gotami, jeno pod względem rasowym tymi samymi, co dziś tam mieszkają k'denom, tej samej mowy używają i są rodzonymi braćmi tych, którzy nieco na południe od nich mieszkają „ku jawom", ku jawnym t. j. widnym równinom, Kujawian.

Na podstawie powyższych wywodów nietrudno także dociec znaczenia i pochodzenia nazwy „Gdynia", zwłaszcza, że wyraz ten w narzeczu kaszubskiem brzmi raczej jak „Gdenia".

ANTONI PROCHENKO

ORGANY WIEJSKIE

(KTO SIĘ W OPIEKĘ...)

Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościółka
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.
Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącem,
na skrzydłach psalmów, tak wiecznych,
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.
Bo gdzież jest większy Pan i król i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienieś Swoje zamknął w prochu ziemi
i wichr piersiami oddycha Twojemi,
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem
i przez Cię Wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twej dosięga?
Gromem przemawiasz w łyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

„Moja pieśń wieczorna"

JAN KASPROWICZ

NA WIDOWNI

Grobowiec Kasprowicza w Tatrach. — Stosunek uczuciowy społeczeństwa. — Natura twórczości narodowej. — Dziedzictwo pokoleń. — Stary ród.

W TATRACH nad Dunajcem zbudowano z fundacji społeczeństwa grobowiec, do którego w dn. 1 sierpnia przeniesiono uroczyście prochy Jana Kasprowicza, spoczywające od siedmiu lat na cmentarzu ogólnym w Zakopanem. Stało się tak według woli samego poety, wyrażonej parokrotnie w lirycznych wyznaniach. Pogrzeb Kasprowicza w dn. 4 sierpnia 1926 r. był manifestacją uczuć narodowych. Uczuć tych względem poety czas bynajmniej nie ostudził.

Wydobyta z grobu na widok publiczny trumna wskrzesza w pamięci postać znakomitego twórcy, a mnie osobiście tem droższego, że obcowaniu z nim i czytaniu pism jego zawdzięczam wiele radości, jaką daje poznanie głębin duszy ludzkiej. Nie mam wszakże dzisiaj zamiaru zajmowania się jego utworami, raczej — przy okazji czynu narodowego na rzecz Kasprowicza w postaci owego grobowca, radbym pomówić o poecie, jako o zjawisku życia narodowego.

Sympatja, którą ogół otacza postać Kasprowicza, jest znamienna. Trudno o większą popularność twórcy, pomimo że poezja jego nie jest popularna. Pozorny paradoks, a jednak to prawda. Warto się zastanowić nad naturą prądów, które od poetów udzielają się ogółowi; dlaczego niektóre z nich nie tyle są literackie, ile raczej należą do kategorji uczuć, tych uczuć, które ożywiają bliskich w rodzinie, lub z narodu robią rodzinę.

Ogół ma jakiś instynkt, który go nie zawodzi. Ogół nie jest literatem, mało czyta, nie umie wytłumaczyć sobie wartości artystycznych, ale w tych wartościach rozpoznaje człowieka. Może się mylić co do twórcy krytyk, instynkt narodowy nie zawodzi. Psychika narodowa szuka w poecie miary dla siebie, darzy go wdzięcznością za każde poczucie wielkości swego rozpięcia duchowego.

Ale mówmy o faktach. Jeżeli chodzi o Kasprowicza, nikt nie ma prawa ubolewać, jak to zwykle się czyni, że społeczeństwo go zapoznało. Mało kto z wielkich poetów doczekał się za życia tak sprawiedliwej oceny i wyniesienia na wysokie w społeczeństwie stanowisko. Dosyć wymienić takie fakty, jak: hołd pośmiertny i budowa grobowca; miasto Poznań ufundowało muzeum specjalne, do którego przeniesiono pracownię wraz z bibljoteką; Inowrocław wzniósł na placu okazały pomnik poety (1930); wieś jego rodzinna, Szymborze, stała się celem pielgrzymek, rodzajem regjonalnego muzeum Kasprowicza. Zaopiekowano się też dziełami i co rzadko się zdarza w tak krótkim czasie, w ciągu paru lat po śmierci ukazało się całkowite wydanie jego pism (Majzels - Kołaczkowski). Literatura o Kasprowiczu zarówno biograficzna, jak krytyczna, jest już wcale bogata. Żaden bodaj poeta nie jest tak dobrze znany z przebiegu żywota, jak Kasprowicz. Przyczyniła się do tego znakomicie żona, wydając „Dziennik“ (2 tomy). Wzniosła mu w ten sposób pomnik, a trudno o cenniejszy wkład do skarbca historycznego, jak tego rodzaju księga zbliska uchwyconych przeżyć wielkiego twórcy. Pomnik to w swoistym stylu, bo dziełem jest artystycznym i nosi charakter osobisty, ale autorka włożyła w niego wiele serca, talentu i wejrzenia światowego (nie tylko domowego). Wreszcie dodać trzeba, że w uniwersytecie warszawskim Kasprowicz jest już wykładany na całorocznym kursie (K. Górski).

Każdy dla Kasprowicza ma dobre słowo, na dźwięk jego nazwiska budzi się w każdym dobre uczucie. Czy dlatego, że wszyscy znają jego utwory? Bynajmniej. Istnieje jakieś tajne porozumienie między nim a ogółem, który o poecie coś zasłyszał. Rzec można, że tkwiący w każdem dziele sztuki pierwiastek tonu wystarcza w tym względzie. Z drobnych cytat, z opinji, wygłaszanej przez krytykę, budzącą zaufanie, z legendy o twórcy układają się uczuciowe podstawy stosunku.

Takie łatwe porozumienie leży w krewieństwie; podobny stosunek zachodzi w rodzinie. Tutaj tkwi pierwiastek rasy i wspólności cywilizacyjnej. Kasprowicz jest poetą narodowym.

Powiadają na to, że to nieprawda, bo Kasprowicz jest poetą ogólno - ludzkim. Na to odpowiem pytaniem: dlaczegóż poeta narodowy nie ma być ogólno-ludzkim? Jakże nawet mógłby być ludzkim, gdyby nie miał rodziny?

Kasprowicz dał nam wiele rozkoszy estetycznej, ale jednocześnie dał nam wiele wiedzy o socjologji talentu twórczego. Dlatego tak łatwo nam z nim się porozumieć, że zasadniczo organizacja i mechanika duchowa jego jest nam wspólna, spoczywa objektywnie w nas wszystkich. Uderza nas w jego dziełach nie nowość jakaś w budowie jego duszy, ale przeciwnie to, że jest właściwa nam wszystkim i dlatego tak droga, olśniewa zaś nasz wzrok tem, że jest tak doskonała w linji metafizycznej, niedostępnej zwykłemu darowi obserwacji wewnętrznej.

Ale stosunek między poetą a ogółem nie jest jednostronny. Obie strony dążą do zbliżenia się ku sobie: miłość dla poety jest odpowiedzią na jego miłość, rozumienie się, polegające na chwytaniu tonu poezji, jest wynikiem współpracy duchowej środowiska społecznego z poetą.

Bywają wypadki (nawet okresy) takiego wybujania subjektywizmu poetów, że mają się za nadludzi, za wtajemniczonych w świat nadprzyrodzony; wtedy odcinają się od ogółu *(odi profanum vulgus)*, który w tych warunkach pozostaje w stosunku do poety w dystansie podziwu. Ale Kasprowicz był z innych czasów, innego typu człowiekiem. Odkarmiała go w młodości idea miłości dla człowieka wogóle, jako motyw naczelny systemu demokratycznego; ale u ludzi kompletnych, nie ograniczających się życiem doktryny, miłość jest głosem gatunku, głosem krwi. Z demokratyzmu rodził się odrazu nacjonalizm. Kasprowicz nie mógł wyminąć narodu w drodze do ideału ludzkości; szedł do niej przez naród. Bo zbyt wielką miał świadomość uczuć swoich, zbyt wiele miał poczucia zależności swojego ducha od krwi. On dlatego był poetą narodowym, że schwytał ducha swego w stadjum tętnienia krwi. Od najwcześniejszych przebłysków natchnienia w pierwszych pismach widzimy, jak pracowała jego świadomość nad tajemnicą łączności jego ducha z życiem przodków. W budowie jego duszy była nie wyniosłość nadczłowieczeństwa, lecz p o k o r a tego rozumienia, że pracowały na niego pokolenia, aby on był czemś. To był zasadniczy rys jego postawy, podanej sercem ku społeczeństwu. Ogół narodowy ten prąd miłosny wy-

czuwał. Tu tkwi sekret popularności tego „niepopularnego“ pisarza.

Bo tak jest. Popularne jest człowieczeństwo w sztuce Kasprowicza, ale wyżyny jego sztuki nie wszystkim są dostępne. Jak powiedziałem wyżej, konstrukcje poetyckie Kasprowicza ze strony schematycznej są proste, każdy ma w zasadzie te same, każdy, kto się chował w podobnych warunkach, co poeta, a więc w Polsce, a więc na wsi, a więc w domu katolickim, rządzonym tradycjami i t. p. Komuż nieznane są: sentyment dla przyrody, wrażliwość na zorzę wieczorną, umiłowanie słońca, djalektyka w wyobraźni i w odczuwaniach między światłem i ciemnością, czujność w rozróżnianiu dobra i zła, poczucie Boga i szatana, tajemnicze rodzenie się i przemiany miłości, ciężary i słodycze tęsknot, podrywanie się patetyczne duszy na dźwięk organu i pieśni choralnej wierzącego ludu?

Wszystkie te elementy mieszczą się w sercu człowieka z ludu, często nienazwane, nie precyzowane świadomością, niemniej żyjące w nim podświadomie w instynktach. Żyją te rzeczy w duszy człowieka wiejskiego nawet nie bezładnie, owszem w ustalonej hierarchji, w budowie wysokiej typu religijnego, z wyraźnem ciążeniem do *„ethosu“* w fundamentach. A to był właśnie kapitał twórczości Kasprowicza. Są to elementarne pierwiastki tego materjału duchowego, z którego wyprowadzona jest budowa naszej polskiej cywilizacji.

Sztuka jego rodzi się w laboratorjum duszy pokoleń, która jest dziedzictwem całego narodu, dlatego ta sztuka jest nam tak bliska. Błędne jest wyobrażenie, że poetą tego typu i tej wartości można się stać uniwersalnie z byle kultury książkowej. Kasprowicza popędy twórcze rodziły się pod szczególnem parciem wewnętrznem, to były niemal bezwiedne melodje duszy, z artystyczną świadomością opracowywane. Rodziły się w podświadomości, gdzie drzemią nagromadzone w drodze dziedzictwa instynkty.

Utwory literackie wartościowe, to znaczy pochodzące z głębi duszy danej jednostki, są jednocześnie produkcją ducha narodowego. Wielki artysta jest organem swej duchowej zbiorowości, i w tem znaczeniu M. Mochnacki uczył trafnie, że literatura jest wyrazem świadomości narodu.

Skąd się brał głęboki ton jego liryki? Stąd, że poeta był organem konieczności psychicznych. To nie był literat z kałamarza. Z duszy jego buchał hymn życia, jakby przez niego dochodziły do głosu dawne od wieków pokolenia przodków. Kasprowicz należał do najstarszych rodów w Polsce. Tak czyste w rasie i kulturze rody, znaleźć można tylko w pokładach ludowych.

Odkąd wieść o człowieku na ziemi polskiej sięga, te jego przodki wszystkie w tym samym kierunku pracowały nad kulturą duszy swojej, aby twórcza dusza Jana Kasprowicza miała takie, a nie inne predyspozycje i widoki religijne oraz etyczne. Żadne dokumenty genealogiczne arystokracji nie wykażą tej czystości rasy i tej jednolitości dziedzictwa. Tem się tłumaczy głęboki i szlachetny ton jego duszy; na jego głos, jak na dźwięk dzwonu, podają się ku niemu dusze nie tylko krewne; każdy człowiek odczuje w nim prawdę człowieczeństwa.

W tem tkwi przyczyna popularności i uniwersalności Kasprowicza, oraz przyczyna miłości, z jaką cały naród dzisiaj zwraca oczy ku jego grobowcowi.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIEDŁUGO PO ODKRYCIU IDEI „ROZBROJENIA MORALNEGO“ życie wypróbowało jej rzetelność. Ci sami „ideowcy“, którzy najgłośniej przyklaskiwali świetnemu nowemu odkryciu i najgoręcej witali moralne rozbrojenie, na widok Niemiec hitlerowskich uzbroili się od pięt do czuba w przepisowy oręż nienawiści. Ci sami agitatorzy, dla których banał o „porozumieniu się narodów“, mającem się zacząć od „wzajemnego poznania“, był najpospolitszym na codzień frazesem, zrobili wszystko, co mogli, aby istotny sens zmian, które zaszły w Niemczech, nie był przez opinję polską zrozumiany. Pokazało się, jak istotna dla pacyfistów jest potrzeba nienawiści, jak żywotna w ideologji tej jest chęć przedstawienia wroga w niekorzystnem świetle. Są to potrzeby i odruchy, obce zupełnie nacjonalizmowi. Nic charakterystyczniejszego, jak to popularne w kołach pacyfistycznych mniemanie, że nacjonalizm jest ideologją nienawiści. Wynika to stąd, że pacyfizm nieprzygotowany jest zupełnie na przyjęcie wroga. Wszystkich chce uważać za przyjaciół, a jeśli to w stosunku do kogoś niemożliwe, nic już nie pozostaje, jak obwołać go za potwora i demona. Nie brak też w Polsce pacyfistów, którzy prawie całą swą energję obracają na szkalowanie Niemiec i Rosji Sowieckiej... O ileż spokojniejszą postawę zajmuje wobec wrogów nacjonalizm! Nie widzi nic nowego w fakcie, że wśród narodów istnieją nawet odwieczni wrogowie: wiadome mu to dobrze, i potrzeba wzbudzania nienawiści w stosunku do nieprzyjaciół jest dla niego niezrozumiała. O wiele bardziej woli oglądać wrogów w prawdziwem świetle, razem ze wszystkiemi ich zaletami, niż w tendencyjnej karykaturze. Dlatego tak irytujące dla nacjonalisty są przyjęte dziś przez część prasy metody oczerniania Niemiec hitlerowskich. Wydaje się to całkiem niegodne cywilizacji polskiej. Między narodami europejskiemi, nawet jeśli są i muszą pozostać sobie wrogie, pożądany byłby przynajmniej pewien wzajemny szacunek. Pacyfizm, jako naiwny szerzyciel nienawiści, zabiega nieraz gorliwie, żeby szacunku między nieprzyjaciółmi było możliwie najmniej. Charakterystyczne dla pacyfizmu jest szerzenie lekceważenia i propaganda oszczerstw. W Anglji przyjęte jest w kołach pacyfistycznych lekceważyć Polskę i uważać, że kosztem Polski trzeba rewidować traktat; w Polsce humanitaryści za prosty obowiązek poczytują nie mówić o Niemczech inaczej, jak tendencyjnie.

W EUROPIE POWOJENNEJ przyjęto za humanitarystę uważać spekulanta, który narzeka, że interesy mu nie idą. Współczucie dla samego siebie w żadnym razie jednak nie jest jeszcze humanitaryzmem. Dziwne się może wydawać wobec tego, że żydzi na współczuciu dla samych siebie zarobili miano dobrych humanitarystów. Komiczne to nawet, mimo całej rzeczywistej niedoli, jaką teraz przychodzi żydom cierpieć w Niemczech. Ale altruizm żydowski nigdy nie był równoznaczny z obroną praw wyzyskiwanej większości. Nigdy na łamach „Naszego Przeglądu“ biadania nie były najgłośniejsze, że żydzi monopolizują w swych rękach handel drzewem, albo że niehumanitarnie wypierają krajowców z adwokatury, albo że nielo-

jalnie stanowią większość wśród urzędników z Polski w Genewie. To poczucie proporcji obce było zawsze humanitaryzmowi żydowskiemu. I teraz, z powodu reform, jakich rewolucja narodowa dokonała w Niemczech, również nie zdobywa się humanitaryzm żydowski na sympatję dla dążeń aryjskiej większości. Osobliwa to perwersja, żeby przeoczać i wyszydać dążenia i aspiracje większości, prawa narodu-gospodarza. Perwersja ta, obowiązująca zarówno „Nasz Przegląd“, jak „Wiadomości Literackie“, narzuciła się także niektórym pismom polskim, jako bezmyślna moda. Argumenty przytem, używane przez żydów, są czasem naprawdę bezczelne. Widać wtedy, jak żydzi nie rozumieją swego położenia w Europie. Nawet skarżąc się, znieważają gospodarzy. Nieprzyzwoite wielce jest, kiedy narzekania swoje łączą z obelgami dla przeszłości narodów europejskich. „Średniowieczna dzicz“ i „metody inkwizycji“ — to bardzo pospolite na łamach pism żydowskich określenia tego, co się dzieje w Niemczech. Ale czy narody europejskie mają nie cenić średniowiecza dlatego, że żydzi go nie cenią? Cóż za presumpcja? I jakże można tak arogancko odzywać się o inkwizycji? Że nie podobała się żydom? — to mało. Można potępiać niektóre jej metody, a przecież rozumieć, jak niebanalnych pobudek i trosk wyrazem była ongiś ta instytucja. Pewien pietyzm należy się wspomnieniu o niej. Bardzo jest niestosowne, kiedy obcy, nie rozumiejący ducha dziejów Europy, cudzem wspomnieniem szargają ordynarnie. Długoż tak będzie?

LUDNOŚĆ LITEWSKA w Polsce jest nieliczna. Podczas ostatniego spisu w Polsce przed dwoma laty do języka litewskiego przyznało się zaledwe 80 tysięcy osób. Ale ludność ta jest nielojalna i nastrojona naogół antypaństwowo, tworząc prawdziwą irredentę, wrogo do Polski usposobioną. Znany działacz narodowy, poseł Jan Kornecki podaje na łamach „Oświaty Polskiej“ fakt zaiste zdumiewający. Mianowicie „w Wilnie odbył się niedawno uroczysty obchód 15-lecia niepodległości Litwy. Podczas kazania w kościele św. Mikołaja ks. Orybiras zaniósł modły o przyłączenie „Wilna i innych ziem litewskich“ do Litwy. Drugi zaś ksiądz Kraujalis, przemawiając na akademji, podkreślił konieczność realizacji ideałów niepodległościowych białoruskich i ukraińskich i braterskiej współpracy z narodem litewskim. „Warunkiem do ziszczenia tych ideałów“ — mówił — „jest konieczność istnienia Wielkiej Litwy ze stolicą w Wilnie, które dotychczas jest pod obcą okupacją“. Rozsadnikiem tych nastrojów irredentystycznych i wrogiego do Polski usposobienia jest prywatne szkolnictwo litewskie. Propaganda antypolska, uprawiana w tych szkołach, była tak wybitna, że kurator wileński zmuszony był zamknąć przed dwoma laty 10 szkół litewskich i o przyczynach zamknięcia zawiadomił publicznie. W ciągu ostatnich dwu lat liczba szkół podwoiła się, organizacje litewskie, które prowadzą szkoły prywatne, rozporządzają tak znacznemi funduszami, że trudno uwierzyć, aby ich mogła dostarczyć owa 80 tysięczna garść Litwinów, mieszkających w granicach Polski. Ta atmosfera nielojalności, o której mówił kurator wileński, a ostatnio stanowisko wyżej wymienionych księży Litwinów, obywateli polskich, jest tego rodzaju, że wymaga odpowiedniej ingerencji władz naszych, tembardziej, że szkolnictwo polskie jest na Litwie Kowieńskiej prześladowane.

NAUKA I LITERATURA

JEREMI

„NAJWIĘKSZY junak swojego czasu“ patrzy ku nam z portretu b. galerji wiśniowieckiej śmiałemi, czarnemi oczami[1]). W podgolonej tęgo czuprynie, w wysokich sklepieniach głowy, w łukach brwi, mocnych jak uderzenie, widać ten wspaniały gest wojewodziński wielkiego pana i zucha, „największego pana w Rzeczypospolitej“, nietylko w Zadnieprzu i na Łubniach. Jedna ręka za pas, druga na karabeli — tak trzeba. Jest ubrany dostatnio, zamożnie, w złocie i futrach — ma na to. Stanąwszy na pograniczu wiar, kultur i narodów wschodu i zachodu, ukrył to wszystko w twarzy. Zdradza się jednem: siłą! Ta ręka nie nawykła do prośby i zaklinań. Zarówno ludzi, jak zdarzenia — roztrąca. Taki już jest — wojewoda ruski, senator państwa, okrutne królewię ukraińskie, książę Jeremi Wiśniowiecki.

Znamy go — jak dobrze! — z Sienkiewicza. Sugestje powieści historycznej, którym ulegamy chętnie i łatwo, nie troszczą się o dowody prawdy. Wizja „Ogniem i mieczem“, ukazawszy Jaremę w przedziwnej glorji bohaterstwa i mocy, łuny Zbaraża i Beresteczka zostawiła mu, jak nimb, dookoła głowy. Jeremi stał się synonimem cnoty narodowej i rycerstwa. Brał nas, jak swoich żołnierzy: nazawsze.

Jeremi Sienkiewicza był inny, niż Jeremi historyków. Wtórzył wprawdzie epopei Kubala słowem pełnem admiracji, ale Szajnocha miał księcia za ambitnego i szkodliwego warchoła, który naprzekór królowi i stanom prowadził własną, niezależną politykę wojny, butny wolontarjusz miecza, wygnany z Ziem Zadnieprza. Wizerunek Sienkiewicza kłócił się z tem przedstawieniem. Niepodobna go było dotychczas sprawdzić w szczegółach. Ze szkodą perspektywy historycznej wyrósł Wiśniowiecki na bohatera wojen kozackich, które były jedynie epizodem paroletnim bujnego życia. Nie mieliśmy dotąd sposobów, by ogarnąć je w całej rozległości i skali, skazani na obrazy fragmentaryczne lub stronne (ruskie), na lekturę niekompletnych źródeł i tekstów, oczekując ciągle monografji. Zjednoczyli się tu historycy z historykami literatury, czytelnicy uczeni i czytelnicy zwykli: szła ku wszystkim z tamtych, siedemnastowiecznych czasów niezaspokojona ciekawość człowieka.

Młody historyk warszawski, dr. Władysław Tomkiewicz, uczeń prof. Haleckiego, ogłosił właśnie pokaźne studjum monograficzne o Wiśniowieckim, celujące rzetelnością naukowej roboty, powściągliwym umiarem zdania oraz wspaniałym zasobem opanowanych źródeł. Tak więc ważne zaniedbanie historjograficzne usunięto!

Poprzedników miał autor wielu; każdy z nich uległ tendencji, która sąd naukowy oddawała w służbę doktrynie, mącąc bezstronność wzroku. Jeśli zawierzyć własnemu spojrzeniu, wizerunek Tomkiewicza, wierny w rozkładzie świateł i cieni, nie zawodzi: jest objektywny, całkowity i prawdziwy. Odtąd przy lekturze „Ogniem i mieczem“ mieć trzeba pod ręką, zwłaszcza w szkołach średnich, studjum autora, by ustalało co chwila korelacje prawdy historycznej i prawdy artystycznej.

Trudno w sprawozdawczej notatce ukazywać rezultaty tych badań. Bohater Zbaraża porzuca w naszych oczach lata pacholęce i młodzieńcze, wchodzi w wiek męski, wiek klęski. Oglądamy go z wielu aspektów: to członek rodziny, to wódz, strateg, polityk, niemal trybun, poseł sejmowy, to kolonizator Ukrainy; we wszystkiem ten sam człowiek: zrazu, po młodzieńczemu zawadjacki i czupurny, kanciasty, trudny; ciężkie życie nie szczędzi mu próby, wychodzi z niej silniejszy, bar-

[1]) Władysław Tomkiewicz. Jeremi Wiśniowiecki (1612 — 1651). Rozprawy Historyczne Tow. Nauk. Warsz. Tom XII. Warszawa, 1933, str. XVI + 406.

dziej zwarty, wolny od gaskonady; ma szczęśliwą rękę w działaniu, hojną w darach, groźną w walce. „I myśli i rozmowy jego o wojnach, dlaczego najbardziej mieszkał w Ukrainie". Żołnierze kochają go, jak w powieści. „...Był wzrostu małego, genjuszu wspaniałego, do wojny ochoty niezmiernej, serca prawie (prawdziwie) kawalerskiego".

Ciekawi-byśmy wydobycia atmosfery kulturalnej książęcego dworu; szła za jego sławą gromada wierszopisów i wędrujących poetów, historjografów, których nazwiska składają się na interesujący kompleks kulturalny Polski XVII stulecia. Dziwić się nie trzeba, że tego w książce niema.

Jest w niej jednak to jeszcze, co spotkać dość trudno, pochwycony głos wieku. W słowach relacyj żołnierskich, autentycznych sprawozdań i opisów oddał historyk czasom mowę ich własną, niefałszowaną. Także w anegdocie: Wśród konkurów księcia z Gryzeldą Zamoyską, kanclerzanką, szło o utrącenie rywala Ostrogskiego. Ten przekupił panią starą, by mówiła pannie: „Dla Boga, coś to upatrzyła w księciu Wiśniowieckim, on czarny". Panna odpowiedziała: „Nie frasuj się, nie poczerni on mnie". „I ta decyzja była dekretem", Pozostał też na placu Wiśniowiecki „rzeźki i w stanie ładny, kibitny i aż nazbyt skłonny".

E. P.

ŚWIATOPOGLĄD MORSKI

ODDZIAŁ gdański Instytutu Bałtyckiego w Toruniu podjął interesującą myśl cyklu wykładów, które ukazują się właśnie drukiem pod hasłem: „Światopogląd morski". Wykłady owe miały objąć przegląd najważniejszych zagadnień bałtyckich, ukazać je we wzajemnych korelacjach i związkach, z różnych punktów widzenia i naukowego sądu. Wielkie kompleksy rzeczy, które spotykają się nad Bałtykiem, ujęły dłonie wytrawnych referentów — i tak oto, w kształcie uproszczonym, otrzymaliśmy zbiorowe dziełko monograficzne, niby małą „encyklopedję morską", o wszystkich walorach podobnego przedsięwzięcia. Rzetelność treści, popularne słowo, różnorodność ukazanych aspektów, zwarte przedstawienie — wszystko to zaleca inicjatywę zasłużonej placówki, coraz bardziej legitymującej swoją użyteczność w ogólnem życiu polskiem.

Cykl inauguruje odczyt inż. Czesława Klarnera: „Śląsk i Pomorze, jako symbole naszej niezależności". Na podstawie, gospodarczej osądził to samo zagadnienie dr. W. Olszewicz, w szkicu „Węgiel i morze". Geologiczne i naturalne formy zjawisk nadbałtyckich rozważyli profesorowie: Zaborski, kreśląc „Zarys morfologji północnych Kaszub" i Nowak, ukazując „Geologiczną przeszłość Bałtyku". Poczem zbliżono się do człowieka. Prof. Stołyhwo, oceniwszy „Zagadnienie rasy nordycznej w nauce i polityce", poddał rozwadze ruch nordyczny w polskiej antropologji, krzewiony przez szkołę Czekanowskiego i rzucił hasło ruchu bałtyckiego. Dr. Stelmachowska przedstawiła na podstawie etnograficznej „Stosunek Kaszub do Polski", stwierdzając niewątpliwe związki w życiu obrzędowem całego kraju.

Ważnemi pozycjami umocniła się w cyklu gdyńskim wiedza historyczna. Prof. Tymieniecki ogarnął szerokim zasięgiem spojrzenia „Dziejowy stosunek Polaków do morza", rekapitulując w zwięzłym wykładzie ostatnie rezultaty naukowe. Prof. Konopczyński, niepospolity znawca rzeczy i spraw północnych, postawił „Kwestję bałtycką jako zagadnienie międzynarodowe". Ujęcie to bodaj pierwsze. Na dzieje Bałtyku — wywodzi autor — patrzeć można przez okno sundzkie, jak czynią to historycy zachodni, podczas gdy pisarze polscy spoglądają na nie zazwyczaj od ujścia Wisły, a rosyjscy raczej ze stanowiska Inflant. Niejednolitość tych stanowisk wyznacza rozległy zakres rzeczy. Przyszłe niezbędne dzieło o rozwoju kwestji bałtyckiej, sądzi Konopczyński, powinno równomiernie uwzględniać różne te aspekty, przy należytem podkreśleniu roli dziejowej wszystkich węzłowych punktów międzynarodowego problemu. Cała działalność naukowa prof. Konopczyńskiego, zadomowiona oddawna na europejskiej północy, pozwala w nim właśnie ujrzeć przyszłego autora owej monografji. Szkic aktualny, zwięzły zarys wieków, przełomów i zagadnień w rozległym przekroju, jest właśnie programem dalszych dociekań, niewątpliwie doniosłych i ważnych, jest bodaj zapowiedzią dzieła.

Cykl Instytutu objąć ma nadto rozprawę prof. Grodeckiego „Stosunek Hanzy do Polski". Wiedza literacka weszła tu jedynie ukradkiem, wraz z broszurą prof. Dyboskiego: „Żywioł morski w twórczości Józefa Conrada".

Całość warta jest syntetycznego ogarnięcia po zakończeniu druku zapowiedzianych zeszytów. Już dziś jednak mówić można o niemałem znaczeniu tej popularyzatorskiej— w dobrym sensie — pracy, która opinji i pojęciom naszym c sprawach bałtyckich narzuca charakter jednolity.

E. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydanie zbiorowe dzieł Wacława Berenta, podjęte przez firmę Gebethnera, rozwija się pomyślnie. Po „Fachowcu", „Próchnie" i „Oziminie" otrzymaliśmy w dwóch tomach „Żywe kamienie", jedno z tych dzieł, które obok Kasprowiczowskiej „Księgi ubogich" i Rostworowskiego „Kaliguli" świadczą, że epoka wielkiej wojny nie była jałową dla polskiej literatury; dzieło to warte jest uwagi i przez to, że z niego wywodzą się niektóre hasła i prądy, znamienne dla epoki powojennej — tak np. „Powsinogi" Zegadłowicza braćmi młodszymi są Berentowych jokulatorów i goljardów.

Wiadomo, że „Żywe kamienie" doczekały się entuzjastycznych ocen i rozbiorów w prasie nietylko polskiej, ale także niemieckiej i francuskiej. Przekład francuski Paul Cazina musiał obudzić znaczne echo, nietylko dlatego, że wyszedł z pod pióra świetnego stylisty, ale i dlatego, że Francuzom dzieło to szczególnie musi być bliskie, choćby nawet nie nasuwały się podobieństwa z „Notre-Dame" Victora Hugo. Na nowej opowieści Berenta „Szabla i duch" (wraz z „Wywłaszczeniem Muz) oraz tomie studjów i szkiców skończy się ta gustowna i pożyteczna edycja; niewiadomo, czy żałować, że pominięto w niej niektóre pomniejsze utwory Borenta, zwłaszcza z młodzieńczego okresu. W tomie VII zamieszczono notatkę bibljograficzną, podającą spis dotychczasowych wydań; okazuje się zeń — rzecz może niedziwna, że największą ilość wydań miał dotąd „Fachowiec", najmniejszą „Ozimina".

*

Wydanie zbiorowe dzieł Sienkiewicza (również Gebethnerowskie) pomnożyło się ostatnio o tom nowel (VIII) i dwie powieści („Wiry" i „Na polu chwały"). Rozchodzi się wieść, dość przykra, że na powieściach i nowelach ma się zamknąć to wydawnictwo, z takim trudem podjęte przez prof. Chrzanowskiego przed dziesięcioma laty! Gdyby ta wieść okazała się prawdziwą, byłaby to dla nas kompromitacja nielada: oto Czesi mają zbiorowe, całkowite, gustowne wydanie w s z y s t k i c h dzieł Sienkiewicza, które każdy chłop czeski może posiadać w swej bibljoteczce, a w ojczyźnie Sienkiewicza, w Polsce, nawet zawodowy polonista nie może posiadać Sienkiewiczowskich świetnych „Listów z podróży", „Listów z Afryki", oraz mnóstwa rozpraw i studjów, których napróżno szukać po księgarniach, ba, po antykwarniach!... Apelujemy do ambicji p o l s k i c h wydawców!

*

Wydanie dzieł Weyssenhoffa, zapoczątkowane tak wspaniale przez firmę Wegnera w Poznaniu, nagle urwało się na trzech tomach. Po roku oczekiwania ukazały się wprawdzie kapitalne nowele, zawarte w zbiorze „Znaj pana", ale przedstawiono je oczom czytelników w szacie niepoważnej, jako tomik „żółtej bibljoteki" — gdzie zrównano je z płodami kryminalistycznemi Błażejowskiego i Jarosławskiego. Zaiste... *desinit in piscem mulier formosa superne!...* (J. B.)

*

W Wilnie wydano świeżo bardzo zabawną powieść p. t. „Wileńska powieść kryminalna". Okładka każe nam wierzyć, że autorką jej jest F e l i c j a R o m a n o w s k a, ale nie wierzymy. Ze wszystkiego widać, że ten żart powieściowy wyszedł z pod pióra męskiego, nielada figlarza, który się ukrył pod maską kobiecą. Jest nawet na okładce portrecik jakiejś niesamowitej, roześmianej dziewczyny, ale nie budzący wiary, Zadomowiony w wileńskim światku dziennikarskim literat wpadł na pomysł wciągnięcia do hecy kryminalnej całego szeregu popularnych postaci wileńskich ze sfer literackich i artystycznych. Rzecz była drukowana w dzienniku kawałkami. W pewnym rozdziale zjawia się w domu autorki po-

wieści, p. Romanowskiej, profesor literatury na uniwersytecie S. B. i robi jej, ze stanowiska krytyki literackiej, zarzuty, dotyczące poprzedniego rozdziału. Autorka pisze o tem poważnie, ale na okładce się śmieje. Majstersztykiem humoru jest parodja fejletonu pewnej (zbyt pewnej siebie) literatki wileńskiej. Rzecz dowcipna i ze smakiem zrobiona.

*

Wydany przed paroma laty, w starannem opracowaniu W. Borowego, tom dzieł pośmiertnych Stefana Żeromskiego („Elegje") nie objął całej spuścizny rękopiśmiennej tego pisarza. Fama głosi, że ktoś już wreszcie zajął się rękopisem „Wiosny", ostatniej, niedokończonej już powieści Żeromskiego, stanowiącej ciąg dalszy, a poniekąd i palinodję „Przedwiośnia". Tymczasem otrzymaliśmy „Dziennik podróży" przygotowany do druku przez Hannę Mortkowiczównę (Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie). Wydawczyni przeszła dobrą szkołę filologiczną, więc z czynności edytorskiej wywiązała się fachowo; tu i owdzie tylko zdarzają się drobne omyłki w odczytywaniu wyrazów, zwłaszcza włoskich. Tytuł „Dziennik" trzeba brać pluralistycznie, bo są tu właściwie trzy dzienniki: 1) podróż na Rivierę i Korsykę w 1902 r. 2) podróż do Włoch w latach 1906—7 i 3) podróż do Francji w 1911 r. Każdy z tych dzienników jest jednocześnie notatnikiem pomysłów do rodzących się naówczas powieści; odsyłacze, które widnieją na końcu książki, wybornie tworzywo to ilustrują.

W dziennikach tych, zwłaszcza z wojażów włoskich, uderza przedewszystkiem fakt, że Żeromskiego więcej interesuje flora danego kraju, niż jego zabytki; żywy kontakt z przyrodą pozostał mu nawet i wtedy, gdy bawił poza krajem ojczystym — nawet Napoleon na rodzinnej Korsyce kapituluje w oczach Żeromskiego przed miejscowemi obłokami, bukaliptusami, no i limbami. Z literackich pomysłów najgodniejsze są uwagi te, które dotyczą „Róży"; autor zmaga się z niemi, przeinacza je, nie może ich opanować. Nader ciekawe jest spotkanie się i rozmowa z Gorkim i Andrejewem na Capri; obu pisarzy rosyjskich charakteryzuje Żeromski bardzo wyraziście i żywo. W całej książce znaleść można — obok suchych notatek — prawdziwe perły lirycznego nastroju, nieraz zaś wybuchy szczerego humoru, zaprawionego dość często odrobiną złośliwości. (J. B.).

*

Rozważona niedawno książka J. Nowaka o satyrze politycznej sejmu czteroletniego zaktualizowała w literaturze naukowej problemy ośmnastowieczne. Praca owa wyrosła z pokonania znacznych trudności materjału: uprzytomniła żywo nieuchwytne zagadnienia autorstwa, skomplikowane przez mnóstwo rękopisów, niezgodnych w oznaczaniu nazwisk, oraz przez naukową nierzetelność druków współczesnych. Sprawę ostatnią ilustrował sowicie prof. Chrzanowski w znanym artykule o wydaniach poetów Stanisławowskich. I naprawdę trudno mówić o całkowitem ogarnięciu twórczości literackiej stulecia, zanim celnym dowodem prawdy nie zostaną wyróżnione utwory, wędrujące kolejno pod rozmaitemi imionami. Puściznę Krasickiego, Trembeckiego, Zabłockiego, Węgierskiego i wszystkich pomniejszych splótł silnie węzeł wspólnej niejasności. Jest to praca do podjęcia, — ciągle do podjęcia śpiesznego.

Drobny przyczynek do sprawy dużej wagi dał niedawno Ludwik Kamykowski, ogłaszając z rękopisu „Dwie satyry" Franciszka Zabłockiego. Rzecz ukazała się w Bibljotece Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki, jednym jeszcze przykładem świadcząc o ruchliwej żywości naukowej środowiska.

Dwie te satyry, dobyte z bogactwa rękopiśmiennego epoki, mnożą ciekawym drobiazgiem dostatnią antologję satyropisarstwa ówczesnego. Zawierają: jeden jeszcze wypad na „ojców duchownych"; jeden jeszcze na „panów"; nadto dwa okruchy: satyrę na sejmujących i szyderczy epigramat na Potockiego, ekswojewodę ruskiego z charakterystycznym chwytem polemiki; Potocki „złożywszy województwo, został kasztelanem", to jest — objaśnia rękopis — „wzgardzonym obywatelem". Wszystkie te rymy, choć nie wyróżnia ich niezwykła treść ani forma, wniosą garść nowych ustaleń do dziejów wrzawy politycznej i społecznej wieku.

Szczegóły ciekawe, rozjaśnione przez wydawcę w przypisie końcowym, towarzyszą samemu rękopisowi. Jest to rękopis Jana Śniadeckiego z jego lat krakowskich, katedry uniwersyteckiej, oraz silnych związków z życiem umysłowem stolicy. W opinji dotychczasowej satyry obie, przepisane staranną ręką uczonego - pedanta, uchodziły za jego własność: za rymy Jana Śniadeckiego. Są to poszlaki jedynie zewnętrzne. Zbadanie sprawy głębsze pozwala, idąc za spojrzeniem wydawcy, odrzucić ponad wszelką wątpliwość autorstwo Śniadeckiego i rozejrzeć się za domniemanym pisarzem wśród plejady satyryków XVIII wieku. Umiejętna analiza treści pozwala prawie dokładnie umieścić te wiersze w czasie, środowisku oraz zagadnieniach, pasjonujących współczesnych. Wystarczy to do oceny utworu, nie zawsze jednak do ustalenia autora. Kamykowski hipotetycznie, z należytemi zastrzeżeniami, wskazuje na Zabłockiego. Może to on, napewno nie Śniadecki (komentator pojaśnia ciekawie, co w satyrach mogło skłonić uczonego do zachowania wierszy w rękopisach własnych), może więc Zabłocki. Ostrożność wydawcy całkowicie podzielić musi czytelnik.

Okazji wydania rękopisu zawdzięczamy ustalenie związków Śniadeckiego z życiem literackiem oraz otwarcie szerszych perspektyw badawczych na odcinku satyropisarstwa. Wskazana pobieżnie zależność satyry polskiej od pism „Wodopija" (Boileau) zasługuje na rozwinięcie i uzasadnienie monograficzne. Początek zrobił już dawno prof. Korbut rozprawą o Załuskim.

Drobna publikacja d-ra Kamykowskiego, wyrażająca dobrze naukową sumienność autora, świadczy jasno o wielości problemów literackich, dotąd zaledwie postawionych. (E. P.)

*

Dyrektor gimnazjum państwowego w Trzemesznie, Jan Swierzowicz wydał książkę p.t. „Bibljografja prac Piotra Chmielowskiego (w 30-tą rocznicę zgonu — 1904 — 1934)" Książka wyszła w Trzemesznie nakładem autora. Liczy stron 113.

Jest to pomnik pracowitości dwu ludzi: Chmielewskiego i bibljografa. Tytanem pracy był pisarz, któremu bibljograf poświęcić musi 113 stron druku, żeby spisać tytuły jego prac. Wielki też trud był dyr. Swierzowicza. Prace bowiem Chmielowskiego (przeważnie recenzje z książek) rozrzucone są po niezliczonych czasopismach. Bibljograf wynotował 1680 pozycyj, ugrupowanych chronologicznie. Na końcu dodał dokładny skorowidz alfabetyczny. Piotr Chmielowski zmarł we Lwowie 22.IV. w r. 1904, na stanowisku profesora literatury polskiej na uniwersytecie miejscowym. Pierwsza praca nosi datę 1867 r. Ilość prac w niektórych latach dochodzi do dwustu. A przecież oprócz pisania Chmielowski miał wiele innej pracy. Redagował „Bibljotekę najcelniejszych utworów", „Ateneum", prowadził stale wykłady w szkołach. Niektóre pozycje są wielotomowe, jak „Historja literatury polskiej". Są takie roboty niewdzięczne, jak przekład „Krytyki czystego rozumu" Kanta. W przedostatnim roku życia, 1903 bibljografja notuje zgórą 100 prac. Umarł w kwietniu 1904, a jeszcze w tym roku miał prac 36. Wiele wyszło po śmierci. Słusznie dyr. Swierzowicz — śladem Korbuta — dopomina się o wydanie zbioru niektórych studjów przynajmniej, dotąd ukrytych w czasopismach. Pracownicy na niwie literatury winni być bardzo wdzięczni dyr. Swierzowiczowi za jego pracę.

*

Jerzy Ostrowski znany jest z kilku powieści, osnutych na tle życia Polaków w Brazylji („Cathangara", „Kobuz"). Spędził lat parę w tym egzotycznym kraju, poznał zarówno stosunki, panujące wśród emigrantów, jak i życie tubylców — Botokudów. Materjału z tych obserwacyj zostało mu jeszcze dużo, skoro postanowił jeszcze raz je zużytkować. W gustownej i ciekawej bibljoteczce geograficzno - podróżniczej „Dookoła ziemi" (Książnica - Atlas), po tomikach St. Pawłowskiego, B. Błażka, T. Nittmana i S. Barszczewskiego ukazała się książka Ostrowskiego „Ziemia żaru", będąca jakoby dziennikiem podróży autora. Książka ta ma dwie zalety główne: szczerość przeżywań i umiejętność patrzenia. Dwóch tych zalet brakło pretensjonalnemu „Dziennikowi z podróży" A. Słonimskiego, dlatego była to rzecz nudna, której nikt nie chce czytać, a przedewszystkiem miłośnicy podróży. Ostrowski nie popisuje się kawałami, mówi poprostu, rzeczowo — rzuca jakby od niechcenia pękami faktów, z których niemal każdy mógłby dla knajpowego lub biurkowego literata stać się tematem do długich ględzeń. Wolno nam ufać, że niektóre tematy rozwinie jeszcze kiedyś sam Ostrowski — ale tak po swojemu, tym twardym, zawadjackim stylem, co w dwóch słowach mieści nieraz całe uczucia i obrazy. Ot, naprzykład kto jak kto, ale on nam powinien dać dobrą — nie w stylu Ossendowskiego — powieść o Krzysztofie Arciszewskim!

Zarys dziejów Brazylji, zwięzły a przejrzysty, jest introdukcją do opowieści o „dziwach" tego kraju, następnie zaś do wiadomości o florze i faunie brazylijskiej, o zwyczajach i życiu władnących tu Portugalczyków. Osobny rozdział poświęcony został „Polakom w Brazylji"; podobnie jak w dziedzinie przyrodniczej uzupełnieniem książki Ostrowskiego może być Chrostowskiego „Parana", tak gdy chodzi o Polonję brazylijską, niejeden szczegół mogą dorzucić ogłoszone niedawno wspomnienia ks. L. Posadzego. Ale rozdział ostatni: — o Indjanach—jest już w literaturze naszej bezkonkurencyjny; choć autor nawiązuje tu do „Cathangary", jednakże wzbogaca swą dawniejszą opowieść mnóstwem arcyciekawych szczegółów. Najciekawsze są wiadomości o religijnych obyczajach Botokudów. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nader sympatycznem pismem literackiem jest kwartalnik czeski „*Archa*“, wydawany w Ołomuńcu przez Zespół literacko - artystyczny (*Literarni - Umielecká Družina*) pod redakcją Emanuela Masaka. \ w Zespół łączy w sobie młodsze pokolenie pisarzy katolickich, po części nawiązując do tradycji „Katolickiej moderny“, stawiając sobie jednak cele głębsze — nietylko artystyczne — i zakreślając znacznie szersze horyzonty. W zeszłym roku przedstawiciele tej grupy bawili u nas na zjeździe pisarzy katolickich, darząc Polskę i jej literaturę wielką i bezinteresowną sympatją, która nie od dziś i nie od wczoraj się datuje. Jeden z czołowych pisarzy L. U. D., Adolf Gajdosz, włada wybornie językiem polskim i jest świetnym znawcą i tłumaczem naszej literatury. W zeszłorocznych zeszytach „Archy“ aż roi się od jego przekładów; najwięcej miejsca poświęcił grupie Czartaka, która przez swe ideje chrześcijańskie, miłość przyrody oraz kultywowanie pierwiastków rodzimych polskich i słowiańskich najbliższa jest ideałom Zespołu czesko - morawskich pisarzy i artystów; studjum, poświęcone Zegadłowiczowi, świadczy, że Gajdosz umie wniknąć nawet w tajniki folkloru i gwary polskiej. Obok Zegadłowicza i Jerzego Bandrowskiego najbardziej tłumaczonym w Czechach pisarzem polskim dzisiejszym jest J. A. Gałuszka; z jego poezyj sporą garść przekładów dał właśnie Gajdosz, opatrując je obszernym a wnikliwym wstępem. Z innych pisarzy polskich uwzględnieni tu zostali: K. H. Rostworowski, K. Iłłakowiczówna, A. Madej i J. Pietrzycki, którzy znaleźli dobrych tłumaczy w osobach O. Brablera i Jana Karnika. Z innych literatur na pierwszem miejscu omówiono pisarzy katolickich: S. Undset, P. Claudela, H. Belloca, Chestertona, albo tych, którzy zbliżyli się do idej katolickich, jak R. Wagner, Wł. Sołowjew i in. Tak przekłady jak i artykuły stoją na poziomie b. wysokim; u redaktorów widać wielką kulturę, znakomitą orjentację w literaturze całego świata — zresztą nietylko w literaturze, bo sprawom artystycznym, kulturalnym i społecznym też wiele uwagi poświęcono. Współpracownicy rekrutują się przeważnie z D. L. U., ale i z poza Czech wielu wybitnych twórców nadsyła swe prace do „Archy“; właśnie ma ukazać się zeszyt polsko-czeski, w którym współpracują znani literaci polscy. Polska publiczność powinna szukać zbliżenia z twórczością pobratymczego narodu, zwłaszcza gdy widzi się tam myśl, opartą o drogie nam fundamenty kulturalne: słowiańskie i chrześcijańskie. Forma zewnętrzna „Archy“ jest wzorowa; ilustracje zdobią każdy zeszyt. Kiedy to u nas powstanie podobne pismo? Naszą literaturę tak jednostronnie i tak tendencyjnie zasila jedno tylko źródlisko, z kulturą polską i chrześcijańską nic nie mające wspólnego! (B.)

*

W interesującem wydawnictwie „*Nasze rewoluce*“ (rocznik VIII) ukazała się nakładem „*Slovanského Ustavu*“ praca Jarosława Papouszka „*Rusko a czeskoslovenská legie v letach 1914—1918*“, nader pożyteczna, bo wyjaśniająca wiele kwestyj, dotąd mylnie interpretowanych, zwłaszcza w polskiej prasie. Autor rzuca słuszne oskarżenia pod adresem byłych rządów carskich, że postępowały wobec Czechów obłudnie, niedowierzając im, zwodząc ich i utrudniając ich organizację. Drugi rozdział mówi o „Rosji rewolucyjnej i legji czechosłowackiej“ w tym okresie: mimo, że warunki były niesprzyjające, a społeczeństwo rewolucyjnej Rosji nieżyczliwe wszelkim formacjom cudzoziemskim, dokonało się wzorowe zorganizowanie wojsk czeskich w samodzielne dywizje — chrzest bojowy wzmógł w nich ducha żołnierskiego, a dyplomacja Masaryka i Milukowa wzmogła stanowisko tej siły zbrojnej, uważanej odtąd za część wojsk sojuszniczych. Rewolucja bolszewicka zagmatwała sprawę przez: 1) oddzielny pokój Rosji z Niemcami w Brześciu nad Bugiem, 2) przez niechętne stanowisko Lenina i Trockiego względem zbrojnych formacyj narodowościowych. Zatargi lokalne Czechów z gwardją czerwoną podczas przejazdu wojsk czeskich na front francuski dawały się początkowo łagodzić; wybuch powstania nastąpił na wieść o rozkazie z Petersburga, nakazującym rozbrojenie wojsk czechosłowackich. Odtąd zaczyna się już nowy okres: wojna nad Wołgą i na Syberji. (J. B.).

Jedna za drugą ukazują się monografje, poświęcone stosunkom w poszczególnych gałęziach gospodarstwa społecznego u nas. Liczbę ich pomnaża książka dr. Alfreda Bedermanna p. t. „*Polens Erdöl — Bergbau und Industrie*“, wydana w języku niemieckim w Łodzi. Książka daje nam obraz stanu naszego przemysłu naftowego. Specjalnie ciekawe informacje zawiera ona w dziedzinie organizacji zbytu, oraz wpływów finansowych w przemyśle naftowym. (J. P.)

OFENSYWA

KATOLICY W AKADEMJI PRUSKIEJ

JEDNYM z tysiąca dowodów na to, jak opinję i mentalność literackich kół w Polsce urabiają nadal na całym froncie hegemonowie z warszawskiej Koszermaffji (i ich służba, utrzymankowie, stypendyści), jest to, że całkiem bez żadnego rezonansu, bez echa, nawet bez kronikarskiego zanotowania przeszły zmiany, jakie zaszły w niemieckiej Akademji w Berlinie w sekcji III-ciej (*Dichterakademie*).

Instytucję założył jeszcze Fryderyk Wielki pod inspiracją Woltera i Encyklopedystów. W składzie członków Sekcji Naukowej przeważali zawsze w 90% od lat 150 protestanci, w „Literackiej“, niedawno założonej, odrazu: żydy. „Przepotężne“ Centrum katolickie, wobec czerwonych satrapów skrajnie ugodowe, kompromisowe, tchórzliwe, a w metodach i manierach krętackie, nie potrafiło w żaden sposób przeforsować do tej Akademji żadnego ze swego obozu katolickiego pisarza. Współdziałać z rewizjonistami w domaganiu się oddania Pomorza umiało, wypisywać na Polskę paszkwile („*Germania*“) umiało, paktować z II-gą Międzynarodówką umiało, ale mocniej forsować swoich ludzi tam, gdzie trzeba, nie umiało.

Szóstego maja przyszła kolej na czystkę i w Berlińskiej Akademji. Prezesem jej wówczas był Heinrich Mann, poeta przesympatyczny, ale obciążony tem, że: 1) matka Kolumbijka hiszpańskiej krwi, 2) żona żydówka, 3) nakładcy wszystkich dzieł jego żydzi. W konsekwencji Mann, aryjczyk *primo cartello*, wszedł automatycznie w liberję pansemicką. Wobec tego z usunięciem jego jako prezesa (przebywał zresztą już oddawna dla bezpieczeństwa w Italji) usunięto też i całą orkiestrę żydowską, złożoną z takich „nieśmiertelnych“, jak Döblin, L. Frank, L. Fulda, Georg Kassis, Alfred Momberg, Alfons Paguet, René Schickelé, Franz Wolff a ze znanych autorów: Tomasza Manna, Wassermanna i Kellermanna. Skąd się w tej Akademji wzięli tacy szrajberzy, jak Schickelé, Wolff, Paguet, no to już tylko żydy wiedziały.

Na miejsce usuniętych mianowano szereg autorów, dotychczas przez Koszermaffję przemilczanych, tłamszonych i w cień usuwanych, skutkiem tego poza rogatkami niemieckiemi nieznanych. Do nowych akademików należą: Werner Beumelberg, Hans Blunck, Paul Ernst (zmarł w lipcu), Fr. Griese, Hans Grimm, E. Kolbenheyer, Agnes Miegel, Freiherr von Münchhansen, Wilhelm Schefer, Emil Strauss, Will Vesper, a oprócz tych, trzech beletrystów aktywnie i wyraźnie katolickich, to jest Hermana Stehra, Hansa Carossa i ks. Piotra Dörflera; w poprzedniej Akademji katolików z wyznania było dwóch. Prezesem tej Akademji został Hans Johst.

Jakie walory wnoszą z sobą ci nowi akademicy, na razie nie bardzo wiemy, gdyż z wyjątkiem Münchansena, Straussa, Grimma, są przeważnie tak mało znani, jak z usuniętych żydów mało znane były: Wolff, Paguet, Schickelé. Nieznani są z tych samych powodów, z jakich nieznanym by był i u nas każdy pisarz świadomie, aktywnie, bojowo katolicki: zbojkotowałaby go Koszermaffja, a nie poparli nasi centrowcy, w niczem a w niczem nie przyczyniający się ni pomagający rozwojowi katolickich debiutantów, których borykania się, niedole, nędza nazbyt są znane. Wśród tych niemieckich nowych akademików już teraz na uwagę specjalną zasługują (sądząc po recenzjach i studjach krytycznych): ksiądz Piotr Dörfler, autor bardzo poczytnej w Niemczech, chłopskiej trylogji powieściowej p. t. „Apolonja“ oraz doktór Carossa, autor równie poczytnego „Pamiętnika Rumuńskiego“ z czasów wojny i kilku ciekawych powieści jak „Przeobrażenia miłości“, „Dzieciństwo“ i t. p. Polskiemu językowi możnaby śmiało przyswoić coś z Carossy a coś z Dörflera, już choćby jako *antidotum* na te gnojniska i na te łajniska, które ze wszystkich języków świata tłumaczą nam masowo stare, kaprawe żydóweczki, a potem drukiem wydają żydowscy handlarze towarem literackim. W szeregu wybitnych pisarzy katolickich w Niemczech zasługiwaliby dalej stanowczo na większe zainteresowanie z naszej strony dwaj Jezuici: słynny myśliciel, ojciec Muckermann, oraz mniej znany poeta, ojciec Przywara („Homo“, zbiór liryk), oraz dwie kobiety: Enrica von Handel-Mauretti starszej daty, tudzież młoda ekspresjonistka, Gertruda von Le Fort.

Nastręcza się teraz pytanie: czy trzeba było aż wykreślać z Akademji dotychczasowych jej członków, ażeby „upróżniać“ miejsca dla nowych?

Otóż teoretycznie: nie, praktycznie zaś bezwzględnie: tak. Ażeby zrozumieć kategoryczny mus bezceremonjalnego tam w Berlinie poczynania sobie z Koszermaffją niemiecką, wystarczy porównać „rzeczostan“, jaki przed majem i przed

paleniem tandety istniał w Niemczech, a jaki w tej dziedzinie istnieje zdawna we Francji.

Właśnie w tym samym maju, w którym przyszedł Sądny Dzień *(Johm - Kippur)* na wysoce utalentowanych geszefciarzy — nihilistów i na komunistycznie snobizujących perwersyjników i amoralistów, w tym maju, w którym wymieciono z Berlina nieco zbyt spasłych *carra-Cohnów*, w Paryżu prezesem *„Societé de Gens des Lettres"* wybrano... Mauriaca i do Akademji Nieśmiertelnych jednogłośnie (28 na 31 głosów) wybrany został tenże Franciszek Mauriac, poeta *christianissumus* i katolik sztandarowy. Przepojone katolickim duchem jego powieści („Genitrix", „Początki życia") cieszyły się od samego początku takiem uznaniem i respektem we francuskiej elicie krytycznej, na jakie w Niemczech mógł liczyć tylko utalentowany żyd z prozapji i z profesji, nadto aktywnie żydowską mentalność apostołujący. Mimo bowiem również potwornego opanowania Paryża przez *„vermine du monde"*, mimo wykupywania wszystkich tygodników, masowego przekupywania talentów, najścia szarańczy z Wschodniej Europy, z *ghett* Warszawy, Kijowa, Będzina, Łodzi, mimo opanowania przez Salmonów i Salomonów omal wszystkich foteli i tek recenzenckich i krytycznych, jednak Mauriac miał dość sprzyjający klimat dla swego rozwoju, bo tam nie mogło być mowy o *„conspiration du silence"*, o mstliwem żydowskiem *„totschweigen"*. I tak też bywało zawsze, jak pamięcią sięgnąć. Nawet za czasów słynnej afery *(„cette canaille de... D")*, gdy bladła gwiazda katolickiego Barbey d'Aurevillyego, jawnie, rozgłośnie i powszechnie omawiano nawrócenie Jorisa Huysmansa; świszczący i karzący bat ze zmęczonych dłoni niezapomnianej pamięci i zasługi Drumonta wziął w ręce niespożyty Polyfem Leon Bloy, by nim bić w karki bezczelniejącej *juiverie*. Nie odważyła się krytyka oficjalna przemilczać potem nawrócenia lekarza wojskowego i dramatysty Henry Gheona, jak znowuż nawet zgrywały się w „egzaltowanym objektywiźmie" różne Blumy, Weille, Loevy, Hirsche, Bauery, zasypując superlatywami Claudela, któremu żarliwe religjanctwo nie przeszkadzało i w wielkiej dyplomatycznej karjerze. Przyszedł potem na Paryż wprost kult czy też moda na konwertytów i na katolików. Jeszcze przed wojną i tuż po wojnie: Peguy. W następnych latach: Martineau, Maritain, Montherlant, poeci. Dalej: Bernanos. Myśliciele-filozofowie-ideologowie: Jacques Rivière, Massis, Yves la Brière (*„L'Eglise et la paix"*). Przyszedł wielki krytyk i teoretyk, ksiądz Brèmond, obrońca jeszcze raz to romantyzmu to „poezji czystej". Przyszli znów nowi nawróceni; Jean Cocteau, Delteil, Roland Dorgelés. Nawet dla Polaka z urodzenia, ale piszącego w duchu renesansu katolicyzmu francuskiego, dla księdza Augustyna Jakubisiaka znalazło się miejsce poczestne w piśmiennictwie francuskiem, a jego dzieła pryncypalne (*„Sur le fondement philosophique du Communisme"*, *„La pensée et le libre arbitre"*, *„Essay sur les limites de l'espace et du temps"*) i po prawicy i po lewicy znalazły swoich zwolenników lub przeciwników, ale nigdy tendencyjnych przemilczycieli.

W Niemczech do 6 maja 1933 coś podobnego byłoby nie do pomyślenia. Przy stałej symbiozie katolickiego Centrum z liberalno - radykalnem żydostwem, Koszermaffja wielkich firm wydawniczych i wielkich rekinów krytyki nie dałaby nigdy wybić się pisarzowi religijnemu chrześcijańskiemu ni do estymy ni do popularności. Jerychoński harmider reklamowy nie tylko koło Wassermannów i Kellermannów ale koło Pawła Barchana (*sic*) lub „genjalnego" Perutza [1]) zagłuszał wszystkie inne głosy. Podobnie jak u nas nasze Pompery i Breitery, tak i ich berlińskie Kempnery i Kerry pisały z niezmożoną dynamiką w *Weltblatt*'ach asfaltowych najpoczytniejszych, podczas gdy aryjczycy w pismach kameralnych i ekskluzywnych, nadto ze zblazowaniem i zmęczeniem, zbyt często odpoczywając lub wyprzęgając. Tak w Berlinie, jak zresztą i w katolickich stolicach, w Wiedniu czy w Monachjum nie do pomyślenia byłby taki cudowny księżulo bohaterski, wesoły inkwizytor *l'abbè* Betlehem, który sobie stale chadzał do bulwarowych kiosków i tam demonstracyjnie darł *coram publico* bezecne judejskie seksualja i fekalja, rozsadniki zanieczyszczających, zbrodniczych, zatruwających gazów.

Że więc rozpanoszone literackie żydostwo berlińskie nie zdobyło się w swym despotyzmie megalomańskim na politykę i taktykę toleracji dla pisarzy równie zdecydowanie chrześcijańskich, jak oni byli zdecydowanie w każdym calu żydowscy, przeto rewolucja narodowa, raz już przyszedłszy do władzy, nie miała innego sposobu, n i e p o w i n n a b y ł a m i e ć innego sposobu, jak przepędzenie na zbity pysk metek, „wmieszkańców", zbyt nahalnych i zbyt na depravacji zbogaconych [2]). Że przeważnie najtchórzliwiej i najnikczemniej już przedtem masowo zwiali, przeto wszystkie szrajbełesy salwowały swe kości i gnaty, które aryjskim pospolitykom zwyczajnie jak w każdej rewolucji poprzetrącano. Teraz żyją sobie żydowskie znakomitości na straszliwej banicji... na Sybirze... Jasnym Brzegu... Mentona, Biarritz lub znowu Ostenda, Blankenberghe, La Panne.

Na fotelu akademickim, o którym już marzył demonicznie parszywy karzeł, kobold—Leo czy Leon Feuchtwanger („taki żyd, co to może się przyśnić"...) siedzi sobie ksiądz Piotr Dörfler, powieściopisarz chłopski.

Następne czystki w Europie przyjdą kolejno.

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) Wulgarny i plugawy utwór tego puryca: „Antychryst" w rynsztokowem tłumaczeniu wyszedł także po polsku.

[2]) Szczegół o Feuchtwangerze w Koszer - „Kurjerze Porannym":

„Bezpieczniej dlań było zostawić hitlerowcom wspaniałą willę w Grunewaldzie i trzy piękne limuzyny. (Pisarzom niemieckim powodziło się kiedyś dobrze, tak dobrze, że na skonfiskowanem przez hitlerowców koncie bankowem Feuchtwangera znajdowało się... miljon złotych).

NA MARGINESIE

W teatrze, jak w życiu publicznem. Wszystko dziś szuka bandery, pod którą mogłoby płynąć.

Pan Szyfman próbował B a n d y. To za mało. Teraz będzie B a n d e r o w s k i, potocznie Bandrowski, do tego Kaden.

Kadenizowanie teatru — to pierwszy stopień do etatyzowania.

*

Dajcie mi — mówił Archimedes — punkt oparcia, a dźwignę z posad ziemię.

Kaden wynalazł punkt oparcia — banki państwowe. Może nie dźwignie z posad teatru, ale, to pewna, dźwignie z teatru p o s a d y! To Archi - metys!

*

Ktoby pomyślał, że węzełek, którego poszukiwano do rozwiązania kwestji kryzysu, spoczywa w teatrze.

Kaden go znalazł. Mało powiedzieć Archimedes, — to Kant. Rzeczywistość rzeczywista nie istnieje; ona jest taka, jak się ją zagra. Zagrać po państwowemu, a wszystko samo się rozwiąże.

Od krytyki czystego rozumu przeszedł odrazu do rozumu p r a k t y c z n e g o. Nie masz pieniędzy, a od czegóż są banki!

Kaden, czytając w kurjerku, że ktoś padł z głodu na ulicy, nie może wyjść ze zdziwienia: — Nie mógł to pójść do Oazy!

*

Kaden - Archimedes - Kant miał skrupuły, że będąc radnym miejskim i opiekunem prac kulturalnych miasta, rzuca swój genjusz na szalę konkurencyjną prywatną, co może być groźne dla majątku teatrów miejskich.

System jego sprawę rozwiązuje. Nastąpi siłą konieczności *Anschluss* teatrów kaden-szyfmanowskich z miejskiemi, o czem dawno się marzyło. Oto, jak na komendę, teatry Krzywoszewskiego już zwijają swoją banderę. W ten sposób nastąpi kadenizacja ogólna teatrów warszawskich.

— No dobrze — powiadają — Kaden to jeszcze nie państwo!

— Owszem — odpowie Kaden — *l'état c'est moi!*

*

Sanacyjny „Dzień Polski" (nr. 160 z dn. 16 lipca) ma pretensję do „Myśli Narodowej", że podała zbyt mało pikantnych szczegółów o Ludwiku Kulczyckim, o którym swego czasu pisała „Gazeta Polska", jako o konfidencie niemieckim. My czekamy na dalsze rewelacje „Gazety Polskiej", które były przez nią zapowiedziane, a ukazać się powinny tembardziej, że — jak pisze sanacyjny „Dzień Pomorski" — Kulczycki „w czasie Krakowskiego Kongresu Centrolewu w r. 1930 był z ramienia międzynarodowych czynników obserwatorem akcji przeciw Piłsudskiemu i jego rządom". Ciekawa wiadomość. Czekamy na dalsze.

NAJWIĘKSZA FABRYKA MYDŁA W POLSCE
PRZEMYSŁ TŁUSZCZOWY

SCHICHT S. A.
WARSZAWA, NOWY ZJAZD № 1

FABRYKI W WARSZAWIE I TRZEBINI
SKRZYNKA POCZTOWA 149

WYRABIA ŚWIATOWEJ SŁAWY MARKI:

JELEŃ - SCHICHT
MYDŁO

CERES
TŁUSZCZ JADALNY

RADJON
IDEALNY ŚRODEK SAMOPIORĄCY

INNE ARTYKUŁY:
MYDŁA: TERPENTYNOWE, „MERKUR", „PTAK", „SOAP", SUCHE, TEKSTYLOWE, SZARE.

OLEJE JADALNE
GLICERYNA CHEMICZNIE CZYSTA, TECHNICZNA I DYNAMITOWA.

OSTATNIE PRACE LITERACKIE
ZYGMUNTA
WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) . 3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciech) . . . 2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.") 1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.") . . . 5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff) . . . 4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Narod.") . . . . 2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff) . . . . . 6.—
Dyskusje (Św. Wojciech) . . . . 5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff) . . . . 4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff) 7.50
Pieśń w górach („Patria", Dom Ks. P.) . . . 5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff) 4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

JUŻ WYSZŁO Z DRUKU
III WYDANIE

„ZMIERZCH IZRAELA"

HENRYKA ROLICKIEGO

Aby udostępnić książkę szerszym kołom publiczności, cena jej obniżona została do 8 złotych, przyczem zewnętrzna strona wydawnictwa przedstawia się równie starannie, —:— jak w wydaniach poprzednich. —:—

SKŁAD GŁÓWNY:
W ADMINISTRACJI „MYŚLI NARODOWEJ",
WARSZAWA, ALEJE JEROZOLIMSKIE 17, DRUGIE PIĘTRO.

Dla nowoprzybywających prenumeratorów „Myśli Narodowej" cena powyższej książki — 6 złotych.

CZYTAJCIE!

ROMANA DMOWSKIEGO

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA

Str. XLIV+296 4-te uzupełnione wydanie Cena 5 złotych

SKŁAD GŁÓWNY:
ADMINIST. „GAZETY WARSZAWSKIEJ"
ZGODA 5

DO NABYCIA:
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH KOLEJOWYCH T-WA „RUCH".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM